

przegląd tygodniowy

Numer 36 (40)
sobota - niedziela, 7.09. - 8.09. 2002
www.trybuna.com.pl

magazyn trybuny



**Pianista
- i nie tylko**

str. 6 - 7



**Szczeście
w Nyamuluki**

str. 8 - 9



**Spróbuj się
usmiechnąć**

str. 10 - 11



**Jestem
panem
świata!**

str. 12 - 13

**Mam nadzieję,
że już wiesz,
który makaron
jest najlepszy...**





KRAKOWSKI DOM INWESTYCYJNY S.A.

Na zlecenie partnerów krajowych i zagranicznych przygotowujemy projekty inwestycyjne na rynku przedsięwzięć komercyjnych i mieszkaniowych.

Współpraca obejmuje wszystkie fazy realizacji, począwszy od analizy rynku i oceny atrakcyjności projektu, poprzez nabycie gruntu, prace projektowe i organizację finansowania, aż do zakończenia inwestycji i kontroli jej efektów.

Załatwiamy formalności administracyjne i prawne, organizujemy kontakty z instytucjami finansowymi, przygotowujemy business plany i plany marketingowe, a także wyceniamy nieruchomości. Specjalizujemy się w wycenach gruntów, obiektów biurowych i przemysłowych oraz innych nieruchomości komercyjnych.

Dzięki kompleksowej obsłudze nasi klienci mają gwarancję komfortowej realizacji inwestycji.

Poszukujemy partnerów do realizacji nowych przedsięwzięć inwestycyjnych. Osoby i firmy posiadające interesujące projekty lub kapitał do zainwestowania zapraszamy do współpracy.



O F E R T A D L A I N W E S T O R A

KRAKÓW

Grunt o powierzchni 1,8 ha pod realizację inwestycji mieszkaniowo-usługowej „Park Technologiczny Kapelanka”.

LOKALIZACJA:

Przedmiotowa nieruchomość zlokalizowana jest w dzielnicy Podgórze, przy skrzyżowaniu ulic Kapelanka, Brożka, Grota-Roweckiego. Teren ma dobre położenie w aspekcie przestrzennym oraz komunikacyjnym. Znajduje się w odległości 2,5 km od Wawelu, w bezpośrednim zasięgu czteropasmowej drogi, stanowiącej arterię komunikacyjną łączącą centrum miasta z nowo powstającym Kampusem i Parkiem Technologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego.

PROGRAM INWESTYCJI:

Zgodnie z koncepcją zespół „Parku Technologicznego Kapelanka” stanowić będą budynki średniej wysokości. W kompleksie przewidziano realizację powierzchni spełniających funkcje publiczne (m.in.: sal konferencyjnych i bankietowych, przestrzeni ekspozycyjnych i handlowych, gastronomii), zespołu rekreacyjnego z basenem, siłownią, boiskiem do squasha, a także wielofunkcyjnych powierzchni biurowych, lokali mieszkalnych i pracowni. Koncepcja zakłada realizację ponad 19 500 m² powierzchni przeznaczonej na lokale mieszkalne i 10 700 m² na pracownie, lokale usługowe i biura.



Krakowski Dom Inwestycyjny S.A.

ul. Juliusza Lea 16a, 30-048 Kraków

tel. 0 (prefix) 12 632-72-72, 0 (prefix) 12 632-83-38

fax 0 (prefix) 12 632-25-32, e-mail: biuro@kdi.com.pl

www.kdi.krakow.pl





Fot. Witold Rozbicki

Nauka w konspiracji

Właśnie rozpoczął się rok szkolny. Jak Pan wspomina szkolne czasy?

– Okres szkolny, zwłaszcza ten wczesny, to dla mnie bardzo miłe wspomnienia. Nad moją edukacją zawsze czuwała mama. Ponieważ już w wieku 4 lat umiałem czytać, dlatego marzyłem, żeby wreszcie pójść do szkoły. Gdy rozpoczynałem edukację, był to bardzo radosny okres, w którym po sześciu wiekach na Śląsku była polska szkoła. Wcześniej, dopóki Śląsk nie został przyłączony do Polski, dzieci chodziły do szkół niemieckich. Chodzenie do szkoły było więc dla mnie troszkę euforyczne, tym bardziej że pochodziłem z rodziny powstańczej. Urodziłem się w bardzo biednej dzielnicy, między bardzo biednymi ludźmi, dlatego moja szkoła była trochę inna, niż ta, którą wszyscy znają i pamiętają. Np. część moich kolegów przychodziła na zajęcia na bosaka. Dzieci bezrobotnych i ludzi, którzy mieszkali w ziemiankach, dziś nazywanych slumsami, czasami nawet zimą chodzili bez butów. Mnie na szczęście to nie dotyczyło. Mój ojciec, chwalić Boga, przez całe międzywojnie miał pracę. Swoją szkołę wspominam jako coś bardzo szczęśliwego, zwłaszcza że się bardzo dobrze uczyłem. Niestety ta przygoda skończyła się dość szybko. Gdy zdałem do trzeciej klasy wybuchła wojna, więc do polskiej szkoły chodziłem tylko dwa lata. Dzień wybuchu wojny – 1 września był dla mnie pierwszym dniem roku szkolnego. Gdy dowiedziałem się, że muszę zostać

w domu byłem zrozpaczony. Przeżywałem to jako największą tragedię swojego ówczesnego, młodego życia. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że już nie będę mógł chodzić do szkoły. Wczesne dzieciństwo wspominam więc, jako coś niezwykłego, właśnie przez to, że w niewielkim mieście robotniczym na Śląsku wszyscy cieszyli się, że nareszcie chodzą do polskiej szkoły.

Czy podczas wojny uczył się Pan na tajnych kompletach?
– Na Śląsku nie było tajnych kompletów, ponieważ nie było polskich nauczycieli. Wszyscy, którzy uczyli nas przed wojną pochodzili spoza Śląska, dlatego z chwilą jej wybuchu powrócili do rodzinnych miejscowości. Sami jednak stworzyliśmy grupę samokształceniową. U kolegi za miastem, w drewnianej budce spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu i „samouczyliśmy się”. Wiedzieliśmy, że Polska będzie i będziemy jej bardzo potrzebni, jako ludzie wykształceni i rolgarnięci. Pamiętam siebie i kolegów, jako taki rodzaj dobrowolnej i samowolnej konspiracji. Zwłaszcza że na Śląsku mówienie po polsku było zakazane. Dodatkowo miało to więc posmak konspiracji oraz czegoś romantycznego. To były bardzo ciekawe czasy.

Jak wyglądały takie konspiracyjne zajęcia?
– Było różnie. Nasza samokształceniowa grupa składała

się z chłopców pochodzących z rodzin robotniczych. Różniliśmy się między sobą intelektualnie, mieliśmy też inne zainteresowania. Ci, którzy byli liderami dzielili się z innymi swoją wiedzą. Przede wszystkim uczyliśmy się rzeczywistości. Analizowaliśmy teatr wojenny i czytaliśmy, czytaliśmy, czytaliśmy... Każdy, kto przeczytał coś ciekawego, dzielił się swoimi odczuciami z pozostałymi. Wówczas również oni sięgali po te książki. Nasze spotkania, to w dużej mierze były dyskusje światopoglądowe o polityce, sztuce, społeczeństwie i przyszłości. Gdy dziś o tym myślę, dochodzę do wniosku, że te samokształceniowe spotkania były pewnego rodzaju uniwersyteciem – luźnym i ciekawym. Spotykali się w nim chłopcy, którzy cierpieli na potworny głód wiedzy, świata i tęsknili za Polską.

Czy to wówczas narodziła się w Panu miłość do teatru i powstał pomysł na reżyserowanie?
– Z pewnością tak. Znaczną część chłopców biorących udział w tych spotkaniach po wojnie poszła na studia. Wielu z nas osiągnęło w życiu bardzo dużo. Jeden został wybitnym malarzem, był też lekarz, inżynier, no i reżyser. Oczywiście część pozostała przy tradycyjnych śląskich zawodach. Bo na Śląsku przecież ludzie dzielą się głównie na hutników i górników.

Dziękuję za rozinową.

Kazimierz Kutz poleca:

KSIAŻKA

Z cywilną odwagą



Chciałbym wszystkim serdecznie polecić książkę księdza Stanisława Musiała „12 koszy ułomków”. Jest to bardzo znany ksiądz, jezuita, który ma odwagę pisać felietony o Kościele i publikować je w „Tygodniku Powszechnym”. Z felietonami jest tak, że publikowane pojedynczo gdzieś umykają. Natomiast wydane w całości stają się swoistą książką i tak właśnie jest z „12 koszami ułomków”. To niezwykle bogata książka z licznymi odniesieniami do historii i sytuacji współczesnego Kościoła, a jej autor to ksiądz z dużą odwagą cywilną.

FILM

Godne uwagi, ale stare

Jestem zwolennikiem szlachetnego kina, a w Polsce niestety nie zanoszą się na to, że nagle zaczniemy robić ambitne filmy. Jest wiele godnych uwagi produkcji, ale starych. Moim zdaniem nie można pokazywać starych filmów na ślepo i bezmyślnie, tak jak to się w tej chwili robi. Stare fil-

my trzeba pokazywać i przypominać z zamysłem, tak jak robiła to kiedyś Akademia Filmu Polskiego, którą bardzo lubiłem oglądać w telewizji. Dawniej kino polskie trzymało się rzeczywistości. Do dziś uważane jest za fascynujące, upiornie ciekawe i przede wszystkim ambitne. A współczesne polskie filmy, to według mnie „przydeptany krupniok”. Kręci się i pokazuje głównie przyziemne serialy i telenowe. Ja zawsze lubiłem oglądać wielkich aktorów. Podziwiałem osobowości filmowe, takie jak np. Paul Newman (na zdjęciu). Do moich ulubieńców należy cała grupa „wielkich panów pokolenia średniego” – również Robert de Niro. Jednak fakt, że ich od czasu do czasu oglądam wynika raczej z potrzeby obcowania z wielkimi osobowościami, a przede wszystkim z ludźmi.

PŁYTA

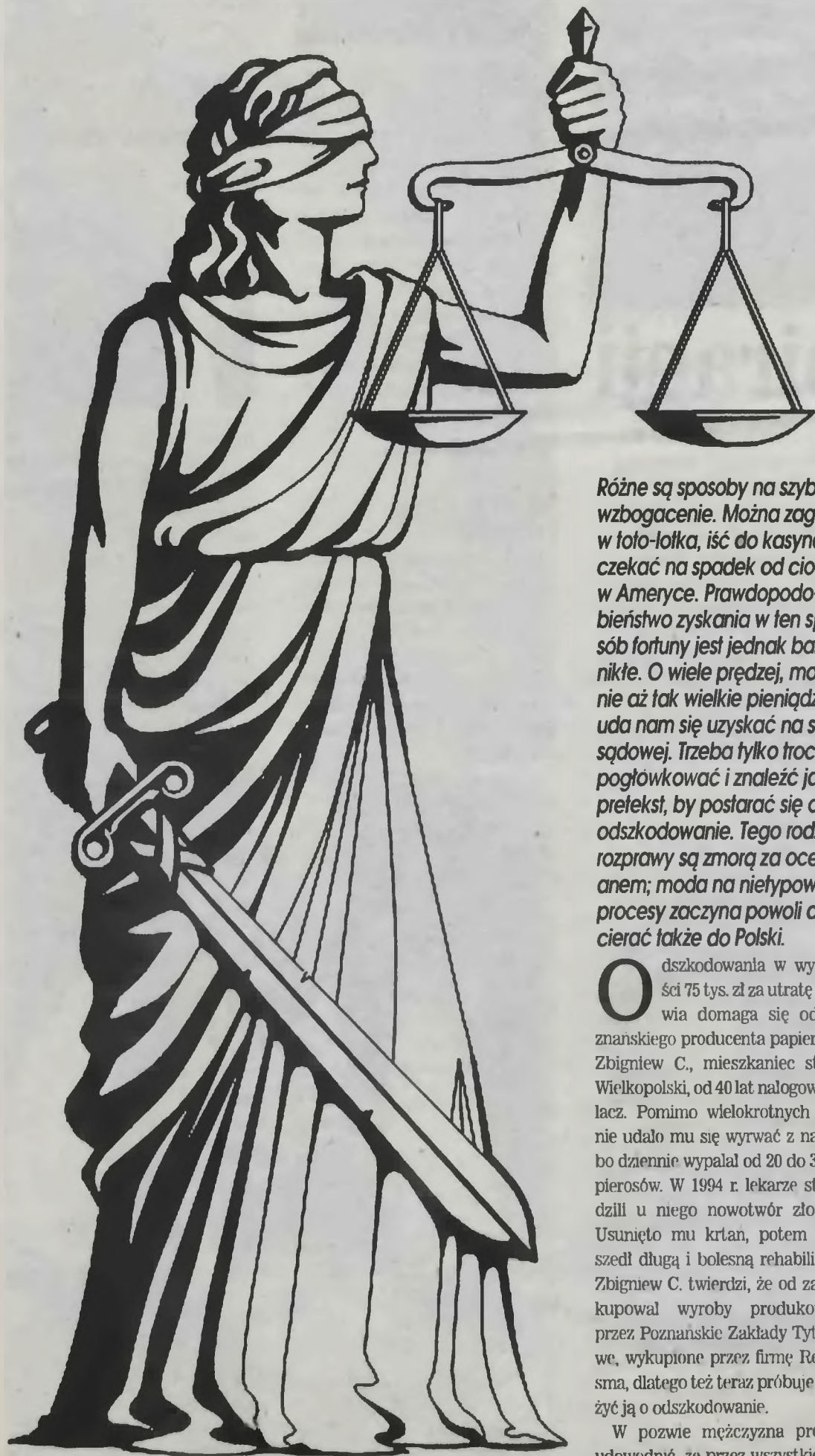
Niebanalne wycie



Nie mam czasu na płyty i słuchanie muzyki. Jednak w związku z wakacjami, na marginesie fatalnego festiwalu w Sopocie udało mi się obejrzeć koncert Garou. Jest to niezwykle autentyczny artysta, który świetnie śpiewa i, co niezbyt często się zdarza, potrafi nawiązać kontakt z publicznością i zaprosić ją do wspólnej zabawy. Śpiew Garou to takie niebanalne wycie o banalnych sprawach. Kto go nie słyszał w Sopocie, niech koniecznie sięgnie po którąś z jego płyt.



Temida rozdaje pieniądze



Różne są sposoby na szybkie wzbogacenie. Można zagrać w tołk-lotka, iść do kasyna, czekać na spadek od cioci w Ameryce. Prawdopodobieństwo zyskania w ten sposób fortuny jest jednak bardzo niskie. O wiele prędzej, może nie aż tak wielkie pieniądze, uda nam się uzyskać na sali sądowej. Trzeba tylko trochę pogłównkować i znaleźć jakiś pretekst, by postarać się o... odszkodowanie. Tego rodzaju rozprawy są zmarą za oceanem; moda na niehypowe procesy zaczyna powoli docierać także do Polski.

Odszkodowania w wysokości 75 tys. zł za utratę zdrowia domaga się od poznańskiego producenta papierosów Zbigniew C., mieszkaniec stolicy Wielkopolski, od 40 lat nalogowy palacz. Pomimo wielokrotnych prób nie udało mu się wyrwać z nalogu, bo dziennie wypalał od 20 do 30 papierosów. W 1994 r. lekarze stwierdzili u niego nowotwór złośliwy. Usunięto mu krtani, potem przeszedł długą i bolesną rehabilitację. Zbigniew C. twierdzi, że od zawsze kupował wyroby produkowane przez Poznańskie Zakłady Tytoniowe, wykupione przez firmę Reemtsma, dlatego też teraz próbuje skarżyć ją o odszkodowanie.

W pozwie mężczyzna próbuje udowodnić, że przez wszystkie lata

Zamiast na Berdyczów pisz do Strasburga?

Trybunał Konstytucyjny zasądził już kilka odszkodowań na rzecz polskich obywateli za naruszenie Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Wśród nich m. in.: 50 tys. zł otrzymał Sylwester P. z Zabrze za opieszałość wymiaru sprawiedliwości; wytoczona przez niego sprawa sądowa w polskim sądzie trwała 19 lat 30 tys. zł zasądzono za to, że Polska naruszyła zakaz niehumanitarnego i poniżającego traktowania więźnia, któremu m.in. uniemożliwiono udział w wyborach 10 tys. zł otrzymał Józef G. z Kęty, bo sąd bezpodstawnie odmówił zarejestrowania czasopisma „Miesięcznik Społeczno-Polityczny. Europejski Sąd Moralny”; Trybunał uznał, że Polska dopuściła się naruszenia wolności wypowiedzi 5,5 tys. zł wyniósł ekwiwalent za trwający 10 lat proces o odszkodowanie za zepsuty telewizor.

Skargi na III RP można kierować do Strasburga jedynie po wyczerpaniu krajowej drogi sądowej. Składa się ją w terminie pół roku od wydania ostatecznego orzeczenia. Polacy chętnie korzystają z tej drogi – pod względem liczby wnoszonych spraw zajmujemy drugie miejsce w Europie.

tytoniowego nalogu nie miał pojęcia, iż jest to najkrótsza droga do raka krtani. „Dawniej nie było stosownych ostrzeżeń na opakowaniach, a palenie było normą, bo robili to niemal wszyscy” – pisze poszkodowany, który ostatniego papierosa w życiu wypalił już po operacji. Teraz domaga się odszkodowania od zachodniego koncernu, który jest prawnym następcą Poznańskich Zakładów Tytoniowych.

– Wyroby tytoniowe są produktem legalnym i prawo nie przewiduje odpowiedzialności za legalny produkt, który jest niewadliwy, nawet jeżeli z używaniem takiego produktu wiąże się możliwość wystąpienia szkody na osobie – ripostuje Mariola Krzyżaniak, rzecznik prasowy firmy.

Również w kuluarach poznańskiego sądu sprawa wzbudza wiele kontrowersji. – Temu człowiekowi nie należy się żadne odszkodowanie. Przecież to jest kpina. Czy za branie narkotyków też trzeba będzie w przyszłości wypłacać odszkodowania. Każdy sam decyduje o swoim życiu i zdrowiu...

Pomimo że dawniej nie było informacji o szkodliwości palenia, to z chwilą uświadomienia sobie tego faktu każdego stać jest na zerwanie z nalogiem. Czas skończyć z paranoją i wyciąganiem pieniędzy, tak naprawdę nie wiadomo na jaką okoliczność. Jak tak dalej pójdzie, to znajdzie się chętny, który będzie domagał się odszkodowania od producentów samochodów za to, że emitują one spaliny...

To tylko niektóre z opinii, jakie można było usłyszeć w kuluarach. Nie jest to jednak sprawa precedensowa. Pierwszy polski proces przeciwko producentom papierosów zakończył się przegraną skarżącego. Sławomir Lubicz jako pierwszy w Polsce oskarżył dwie firmy tytoniowe o odszkodowanie w wysokości 10 mln zł za śmierć swojej matki, która zmarła na raka płuc. Sąd w uzasadnieniu decyzji oddalającej to powództwo stwierdził, że robi to tylko dlatego, „by nie tworzyć precedensu”.

PRAWNICY W DZIAŁANIU

To, co w polskich sądach jest cwenementem, w Europie Zachodniej, a szczególnie w Stanach Zjed-

noczonych, nikogo już nie dziwi. Wprawdzie każdy wielki proces kryminalny zapewnia adwokatowi rozgłos i sławę, jednak rzadko daje on to, co dla wielu ludzi jest równie ważne – pieniądze.

Tamtejsi prawnicy mają o tyle ułatwione zadanie, że – za oceanem – od ponad 20 lat obowiązuje dyrektywa Sądu Najwyższego, wedle której jeśli strona przegrywająca proces cywilny o odszkodowanie udowodni ciężką sytuację materialną, to jest ona zwolniona z ponoszenia kosztów opłat sądowych.

Dlatego niektórzy mecenasi proponują klientom jasny układ: „Jeśli przegramy sprawę to trudno. Jeśli wygramy, dzielimy się uzyskanym odszkodowaniem”. Ile? To jest tajemnicą obu stron, utarł się jednak zwyczaj, że adwokat otrzymuje od 10 do 40 proc. wywalczonych sum.

Doszło niemal do paranoicznych sytuacji. Od pewnego czasu w Stanach Zjednoczonych można zaskarżyć praktycznie każdą osobę i każdą instytucję, a powodem pozwu może być najbardziej błahy nawet powód. Przykładem są losy jednej z bohaterki serialu „Melrose Place” Hunter Tylo, która w czasie prac nad filmem zaszła w ciążę. Producent doszedł do wniosku, że ciężarna aktorka nie będzie mogła grać roli seksualnej uwodzicielki i zerwał z nią kontrakt. Kobieta najpierw wpadła we wściekłość, później poradziła się kilku adwokatów, po czym wytoczyła proces wytwórni Spelling Entertainment Group. Sąd zgodził się z jej tokiem myślenia, że kobieta w ciąży potrafi być równie uwodzicielska jak każda inna i nie może to być podstawą do odebrania jej roli. Jako odszkodowanie za doznane przez nią szkody moralne przyznał jej kwotę prawie 5 mln dolarów.

BO KAWA BYŁA ZA GORĄCĄ

Bodaj najgłośniejszym procesem o odszkodowanie w Stanach Zjednoczonych była sprawa 72-letniej Stelli Lieback, która z pomocą adwokatów oskarżyła sieć McDonald's o sprzedaż jej kubka zbyt gorącej kawy. Pani Lieback siedziała w samochodzie i trzymała między kolanami jednorazową kubeczek pełen aromatycznej kawy, kiedy samochód, którym po-

dróżowała, gwałtownie zahamował. Gorący napój oblał podbrzusze i uda kobiety powodując oparzenia trzeciego stopnia. Pechowa konsumentka natychmiast trafiła do szpitala. Koszty leczenia przekroczyły 10 tys. dolarów. Zarówno poszkodowana jak i jej rodzina początkowo próbowali ugody załatwić sprawę z McDonald'sem. Ich pierwotne żądania sprowadzały się jedynie do pokrycia kosztów szpitalnego leczenia. Jednak te prośby zostały odrzucone. Co najwyżej, jako gest dobrej woli, zaproponowano wypłacenie jej 800 dolarów.

Każdy wie, że gorący napój może poparzyć, zwłaszcza kiedy stawia się go na kolanach w czasie jazdy samochodem. Ale od czegoż wyobraźnia amerykańskich prawników, którzy oskarżyli koncern o lekceważenie przepisów bezpieczeństwa. Pozew oparli wprawdzie na bardzo wątpliwych przesłankach – braku na plastikowym kubku napisu ostrzegającego przed skutkami rozlania gorącej kawy. Ten pozornie nielotny fakt okazał się furtką, dzięki której mogli rozpocząć sądową batalię. Sprawa trafiła do sądu, który uznał, że Lieback należy się 2,7 mln dolarów odszkodowania. Doszło wprawdzie do licznych odwołań, ale poszkodowana otrzymała w 1995 r. prawomocnym wyrokiem 300 tys. dolarów odszkodowania. Honorarium jej adwokatów – jak to zawsze w tego typu sprawach bywa – okryte jest głęboką tajemnicą.

Nic dziwnego, że od tamtej pory na wielu artykułach codziennego użytku pojawiają się zupełnie irracjonalne ostrzeżenia. Jeden z producentów zamrażarek umieszcza na opakowaniach swoich artykułów informację, że zabrania się przechowywania wewnątrz zamrażarki... niemowlaków. To na wypadek, gdyby jakaś nieroztropna matka próbowała umieścić w temperaturze minus kilkunastu stopni Celsjusza płaczącego malca. Cóż, przecież zawsze mogłaby się tłumaczyć, że nie było stosowanego ostrzeżenia...

10 tys. dolarów odszkodowania domagał się pewien namiętny smakosz piwa Richar Overton ze stanu Michigan. Pozwał on słynny na rynku amerykańskim browar Anheuser-Busch za nieuczciwą i fałszywą w jego mniemaniu reklamę piwa Budweiser.

– Na reklamie widać mężczyznę, który pije piwo – wyjaśniał w pozwie sądowym. – Bohater spotu reklamowego na chwilę zamyka oczy i po ich otwarciu widzi dziewczynę w strojach bikini. Nie wiem, ile już puszek reklamowego trunku wypilem w ostatnim czasie, ale ciągle nie widzę obiecanych dziewcząt. Dlatego czuję się wyraźnie oszukany...

Sędziowie wprawdzie prywatnie uśmiechali się nad tym oszustwem, ale sprawę musieli rozpatrzyć. Jak się można domyślać skrzywdzona ofiara tym razem nie otrzymała nawet dolara odszkodowania. Za to pan Overton stał się niezwykle popularny w mediach, a nawet przez kilka sekund wystąpił w reklamie, co wiązało się z kolejnym honorarium.

Ponad 700 tys. dolarów przyznał sąd na Florydzie rodzicom 2-letniej dziewczynki, która straciła paznokcie wkładając palce w zawiasy tylnych drzwi samochodu. Pieniądże będzie musiał zapłacić koncern For-

W Stanach Zjednoczonych prawnicy specjalizujący się w sprawach o odszkodowania potocznie mają specjalną nazwę: ambulance chaser, czyli gonący za karłką pogłowia. Nic dziwnego, niemal po każdym wypadku lub katastrofie jako pierwsi próbują ustalić listę ofiar, by jak najszybciej skontaktować się z ich rodzinami i zaproponować swoje usługi przy ewentualnej rozprawie sądowej.

da. Prawniki, występujący w imieniu rodziny poszkodowanej, stwierdził bowiem, że firma reklamuje fordą explorera jako auto rodzinne, a mimo to montuje zawiasy do drzwi, które mogą spowodować obrażenia cieleśne u nieletnich.

Ostatnio Ameryka żyje procesem dwójki pasażerów Air Canada. Andrew Wysocki i Lori Learmont zażądali od tych linii oraz firmy Continental Airlines, która obsługuje port lotniczy w San Francisco, 5 mln dolarów odszkodowania za ich zagubionego kota. Kot, który wabi się Fu, zaginął podczas lotu z Toronto do stolicy stanu Kalifornia, ponieważ był przewożony przez Air Canada w dziurawej klatce. Pan Wysocki twierdzi, iż żąda nie wysokiego odszkodowania nie wynika z chęci osobistego wzbogace-

nia się, lecz pragnie w ten sposób skłonić linie lotnicze do zwracania większej uwagi na przewożone zwierzęta. Wysocki i Learmont twierdzą, że co roku z 27 tys. 600 kotów, psów i innych zwierzątów transportowanych przez Air Canada, ginie w podróży około jedna piąta.

LEKARZ LECZY I... PŁACI

Do lekarzy i personelu medycznego mamy z reguły bardzo duże zaufanie, wszak powierzamy im rzecz najcenniejszą – nasze zdrowie i życie. Nie pytamy ich o kwalifikacje, umiejętności i doświadczenie, gorąco wierząc, że zrobią wszystko, aby uzdrowić nasze ciało. Dopiero kiedy doznamy krzywdy, zaczynamy zastanawiać się, czy nam – pacjentom – przysługują w ogóle jakieś prawa.

Sądy w całym kraju coraz częściej są zasypanye lawiną pozwów dotyczących zarażeń szpitalnych, zgónów po badaniu inwazyjnym – laparoskopowym, gastrokopii czy koronarografii. Obok nich duży odsetek stanowią typowe błędy w sztuce lekarskiej – nieprawidłowo przeprowadzone operacje, źle postawione diagnozy, brak podstawowych badań przed podjęciem decyzji o operacji, zbyt późno przeprowadzone cesarskie cięcia, pozostawione w ciele narzędzia chirurgiczne, waciki, tampony itp. Lekarz też jest człowiekiem i niekiedy się myli, jednak popełnione przez niego błędy mogą kosztować ludzkie życie. To jest jego zawodowe ryzyko. Polacy są coraz bardziej świadomi swoich praw i późniejszego egzekwowania ich przed sądem. Za rzeczywiste lub wyдуманne szkody coraz częściej domagają się finansowej rekompensaty. Niektórzy liczą pewnie na podreperowanie własnego budżetu, wielu ma także nadzieję, że finansowe obciążenie będzie dla innych swoiście pojmowaną szkołą odpowiedzialności.

Coraz powszechniejsza jest jednak świadomość, że z naruszenia praw obywatelskich każdego można rozliczyć przed sądem – dodają sędziowie. – Ludzie uświadamiają to sobie w dużej mierze za sprawą mediów. Czytają o takich procesach w gazetach, oglądają o tym reportaże w telewizji. Za wcześniej jeszcze mówić o świadomości prawnej. Ludzie muszą się jeszcze nauczyć, że



Zbyt gorąca kawa, zgubny nałóg palenia mogą być środkiem do szybkiego wzbogacenia się

zanim przyjdą do sądu, trzeba spróbować polubownego załatwienia sporu, że swe roszczenie trzeba jeszcze odpowiednio udokumentować, że niekiedy dobrze byłoby wcześniej zasięgnąć fachowej porady prawnej.

Jedno z największych zasądzonych odszkodowań skarb państwa wypłaci Urszuli U. z Poznania: 230 tys. zł z odsetkami i rentą w wysokości 1600 zł miesięcznie. Kobieta przed dziewięć laty przeszła operację tarczycy, a po niej straciła głos i przestała samodzielnie oddychać. Poznański sąd okręgowy doszedł do wniosku, że chirurg, który ją operował, wprawdzie nie popełnił błędów jednak nie był dość ostrożny i staranny w czasie tamtego feralnego zabiegu operacyjnego. – To będzie jedynie kosmetyczny zabieg. Nie ma żadnych powodów do nerwów czy niepokoju. To raptem godzina, półtorej i wróci pani do domu – zapewniali kobietę lekarze, zanim trafiła na salę operacyjną.

Uwierzyła im, bo przecież ona sama nie zna się na kulisach medycy. Lekarze są specjalistami w tej dziedzinie, więc nie miała powodów, aby im nie ufać. Przeliczyła się, a uspokajające obietnice lekarzy nieestetycznie sprawdziły się. Zaraz po operacji pacjentka straciła przytomność i trafiła na oddział intensywnej opieki medycznej. Podłączono ją do aparatury i przez kilkadziesiąt godzin dokładnie monitorowano pracę całego organizmu. Najgorsze w tym wszystkim było to, że straciła mowę i nie mogła samodzielnie oddychać. Robiły to za nią specjalistyczne urządzenia, a ona sama opleciona wieloma kablami sprawiała wrażenie wręcz beznadziejnego przypadku. Zdaniem biegłych sądowych chirurg nie podwijał tętnic tarczycowych i doszło do dużego krwawienia. W tych warunkach lekarz nie powinien był podjąć decyzji o zabiegu. Wtedy nie miałoby to być tak poważne. Wiele wskazuje na to, że sądy byłyby dużo nieostrożniejsze i brakiem należytej staranności. Kobieta przez

9 lat przeszła 22 operacje, dzięki którym dopiero teraz może jako tako funkcjonować.

Nikt nie wie, ilu pacjentów cierpi lub umiera na świecie z powodu ewidentnych błędów lub zaniedbań w sztuce lekarskiej. Są to liczby szacunkowe. W Stanach Zjednoczonych mówi się o 100 tys. takich przypadków rocznie. 40 tys. to liczba skarg na lekarzy w Wielkiej Brytanii. Do rzecznika odpowiedzialności zawodowej w Polsce trafia rocznie około 2 tys. spraw. W 2000 r. 141 lekarzy otrzymało upomnienie lub nagany, zaś 10 pozbawiono prawa wykonywania zawodu.

Niemal na całym świecie lekarze wykupują ubezpieczenie, które ma ich chronić przed wypłatą tak wysokich odszkodowań. Przy obecnym poziomie orzekanych przez sąd odszkodowań suma ubezpieczenia np. w Niemczech, na którą się przeciętnie ubezpieczają chirurdzy, wynosi co najmniej 2 mln marek, czyli 1 mln euro. Tylko w Niemczech do towarzystw ubezpieczeniowych wpływa około 10 tys. roszczeń rocznie. Większość z nich (60 proc.), podobnie jak ma to miejsce w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, jest nieuzasadnionych. Przeciętne koszty odszkodowania wzrosły np. u internistów do 25 tys. euro (12-krotnie w ciągu ostatnich 15 lat). W medycynie ogólnej wynoszą około 15 tys. euro. Najdrożsi dla towarzystw ubezpieczeniowych są ginekolodzy (przeciętne odszkodowanie za przypadek wynosi 40 tys. euro) i pediatrzy – 35 tys. euro. Oczywiście po drugiej stronie Odry dochodzi do procesów sądowych, ale w 90 proc. przypadków zawierana jest ugoda przed sądem.

U nas tego rodzaju procedury nie są jeszcze rozpowszechnione. Nie da się jednak ukryć, że tak jak cenimy zdrowie coraz częściej potrafimy się domagać odszkodowania za jego utratę. Wiele wskazuje na to, że sądy długo jeszcze w tej dziedzinie będą miały pełne ręce roboty.



W 2000 r. pozbawiono w Polsce prawa wykonywania zawodu 10 lekarzy

Pianista – i nie tylko

Na ekrany naszych kin wszedł z dużym medialnym rozgłosem najnowszy film Romana Polańskiego „Pianista”, wyróżniony zaszczytnie Złotą Palmą na Festiwalu w Cannes.

Już na długo przedtem wiele mówiono i pisano z tej okazji o sławnym reżyserze, jak też o jego pracy nad tym najnowszym filmowym dziełem. Pozostał natomiast jak gdyby trochę w cieniu sam główny bohater filmu – zmarły nie tak dawno znakomity muzyk Władysław Szpilman.

Warto więc może przypomnieć tu choćby w zarysie jego sylwetkę – zwłaszcza że była to postać zaiste nietuzinkowa; postać, której wielostronność i różnorodność działalności można by zapewne obdzielić kilka życiorysów. Warto przypomnieć także dlatego, że zarówno sam film, jak i książka-pamiętnik, na której treść filmu została oparta, obejmują jedynie pewien niezbyt długi wycinek biografii naszego artysty – prawda zresztą, że niezwykle i najbardziej z pewnością dramatyczny.

W JEDNEJ OSOBIE

koncertujący pianista, ceniony kompozytor, kameralista oraz rzutki i pełen inwencji organizator życia muzycznego – to sylwetka zaiste wyjątkowa. Mało kto pewnie już dziś pamięta, że to właśnie Władysław Szpilman był w swoim czasie głównym motorem reaktywowania ZAKR-u i że to z jego pomysłu narodził się Festiwal Piosenki w Sopocie. Jeszcze mniej osób pamięta o międzynarodowych sukcesach świetnego Kwintetu Warszawskiego, powstałego właśnie z inicjatywy Szpilmana oraz zaprzyjaźnionego z nim znakomitego skrzypka Bronisława Gimpela.

Urodzony w Sosnowcu, 5 grudnia 1911 roku, syn koncertmistrza katowickiej orkiestry operowej, odziedziczył jak widać po ojcu wybitny talent muzyczny, a w szczególności doskonałą umiejętność szybkiego czytania nut. Już więc w wieku lat 16 mógł zostać studentem warszawskiej Wyższej Szkoły Muzycznej im. F. Chopina w klasie znakomitego pianisty Józefa Śmidowicza, („Nie umiał zbyt wiele – wspominał po latach prof. Śmidowicz – ale wiedziony instynktem potrafił znakomicie używać pedału, co świadczy o wybitnej muzykalności, dlatego go przyjąłem”), który przedstawił go swojemu z kolei mistrzowi – wielkiemu Aleksandrowi Michałowskiemu, a kilka



W studiu Polskiego Radia

lekcji u tego niezrównanego artysty i pedagoga okazało się dla młodego muzyka bezcennym skarbem, o czym wspominał mi ze wzruszeniem jeszcze u schyłku swego długiego życia. Swoje

MUZYCZNE UMIEJĘTNOŚCI

pogłębiał następnie młody Szpilman w Berlińskiej Akademii Muzycznej u słynnego wirtuoza Artura Schnabla oraz u cenięcego kompozytora Franza Schreкера. Gdy jednak w Niemczech doszedł do władzy Adolf Hitler i rozpoczął się brunatny terror, powrócił do Warszawy, mając w swej kompozytorskiej tece m.in. Koncert skrzypcowy, Concertino na fortepian i orkiestrę, jak też szereg utworów lżejszego autoramentu.

Talent jego zwrócił uwagę dyrektorów Polskiego Radia, gdzie też niebawem zaproponowano mu posadę stałego pianisty z całkiem wysoką na owe czasy pensją 550 zł miesięcznie. Teraz on z kolei mógł posyłać do Sosnowca pieniądze rodzicom, wywdzięczając się w ten sposób ojcu za finansowanie jego warszawskich, a potem berlińskich studiów. Równocześnie tworzył kolejne kompozycje symfoniczne, a jego piosenki zyskiwały znaczne powodzenie w warszawskich kabeletach. Mógł też pozwolić sobie na kupno eleganckiego 3-pokojowego mieszkania przy ul. Słiskiej, nieopodal ówczesnej siedziby Radia (którego rozgłoszenia mieściła się w samym centrum miasta, przy ul. Zielnej), a wreszcie – sprowadzić całą rodzinę do stolicy. Krótko mówiąc – miał

wyrobioną pozycję i powodzilo mu się naprawdę dobrze.

Niestety, nad Polską, jak i nad całą Europą zbierały się już czarne chmury. Wybuchła wojna. Warszawa bohatersko odparła ataki przeważających sił niemieckich, a Władysław Szpilman 23 września 1939 roku grał jeszcze

PRZED MIKROFONAMI POLSKIEGO RADIA,

do którego – jak sam później wspominał – trudno już było dobrać pośród wybuchów spadających bomb i innych pocisków. A później nad krajem zapadła czarna noc hitlerowskiej okupacji, zaś rodzina Szpilmanów po pewnym czasie znalazła się



Z żoną Haliną, 1955 r.

w getcie. Tam Władysław przez czas jakiś grywał w funkcjonujących jeszcze kawiarenkach, by zapewnić skromny choćby byt sobie i rodzinie. Jednak latem 1942 roku i to się skończyło; nadeszła pora wymyślnego przez zbrodniczych ideologów „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Pośród tysięcy innych także Szpilmanowie odjechali do obozu zagłady – tylko Władysław poznał któryś z żydowskich policjantów i w ostatniej chwili niemal siłą zmusił do ucieczki ze złowrogo Umschlagplatzu.

Miał szczęście: znowu trafił na przyjaciół z Polskiego Radia, którzy zapewnił mu względnie bezpieczne schronienie po aryjskiej stronie miasta i zadbał

o dostarczanie mu jedzenia. Żyjąc w ciągłym lęku i wielokrotnie zmieniając kryjówki dotrwał do wybuchu Powstania Warszawskiego. Z kolejnej kryjówki słyszał odgłosy walki, a gdy po 63 dniach Powstanie upadło, zorientował się, że Niemcy wypędzają pozostałych przy życiu mieszkańców i podpalają kolejne budynki. W końcu – pozostał

SAM W OPUSTOSZAŁYCH RUINACH MIASTA,

nie mając żadnych środków do życia i nie mogąc zdradzać swej obecności pod groźbą natychmiastowego zastrzażenia.

Przetrwał jednak dzięki upartej woli życia, a także dzięki pomocy wiedzonego ludzkimi odruchami niemieckiego oficera nazwiskiem Wilm Hosenfeld. Przetrwał; doczekał stycznia 1945 roku, ruszenia frontu na Wiśle i wejścia polskich żołnierzy do ruin lewobrzeżnej Warszawy. Ten właśnie dramatyczny epizod jego życia – pełną w okupowanym, a później zburzonym i opustoszałym mieście – pokazuje film Romana Polańskiego.

Wnet po wojnie powrócił Władysław Szpilman do pracy w Polskim Radiu. Zrazu po dawnemu wypełniał swą grą odcinki audycji muzycznych, później został zastępcą dyrektora Działu Muzycznego i kierownikiem redakcji Muzyki Rozrywkowej. Niezależnie od tego koncertował: można było m.in. w sali warszawskiej Romy usłyszeć graną przez zespół z filharmonię orkiestrą wirtuozowską „Rapsodię na temat Paganiniego” Sergiusza Rachmaninowa. Nadal



WŁADYSŁAW SZPILMAN

Plakat z koncertu w Café Sztuka, warszawskie getto, 1942 r.

też intensywnie komponował: to on stworzył m.in. znany sygnał Polskiej Kroniki Filmowej, a także

PONAD 500 PIOSENEK;

niektóre spośród nich stały się prawdziwymi szlagierami, aby wymienić choćby „Czerwony autobus”, „Deszcz” czy „Nie wierzę piosence”.

Obok tego wszystkiego działał aktywnie we władzach ZAiKS-u i Związku Kompozytorów Polskich oraz współorganizował, zrodzony zresztą z jego właśnie inspiracji, Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie. Po 1963 roku zaś, porzucając etatową radiową działalność, stworzył wspólnie z zaprzyjaźnionymi skrzypkami Bronisławem Gimplem i Tadeuszem

Wróńskim oraz altowiolistą Stefanem Kamasą i wiolonczelistą Aleksandrem Ciechańskim znakomity Kwintet Warszawski, który dał z wielkim powodzeniem ponad 2 tysiące koncertów w salach całego świata, propagując m.in. na taki właśnie zespół napisane dla polskie Juliusza Zarębskiego oraz Grażyny Bacewicz.

Wycofawszy się zaś z czasem z zawodowej aktywności nadal, niemal do końca, regularnie był na koncertach, interesował się żywo polskimi muzycznymi sprawami i zyczliwie służył dobrą radą młodszym, mniej doświadczonym kolegom. Był z pewnością postacią nietuzinkową, a jego wkład w organizację polskiego życia artystycznego ma wysoką cenę.



Z rodzicami, 1935 r.

Władysław Szpilman i Bronisław Gimpel, 1978 r.



Kapitał zaufania



Jesteśmy wszędzie. Codziennie mijasz miejsca, obiekty i przedmioty, które ubezpieczymy.

Istniejemy już blisko dwieście lat. Zmieniamy się, rośniemy i rozszerzamy działalność na nowe dziedziny życia.

Posiadamy 55% udziałów w polskim rynku ubezpieczeń. Aktywa naszej Grupy o wartości 21 miliardów złotych dają nam pozycję jednej z największych instytucji finansowych w Europie Środkowowschodniej.

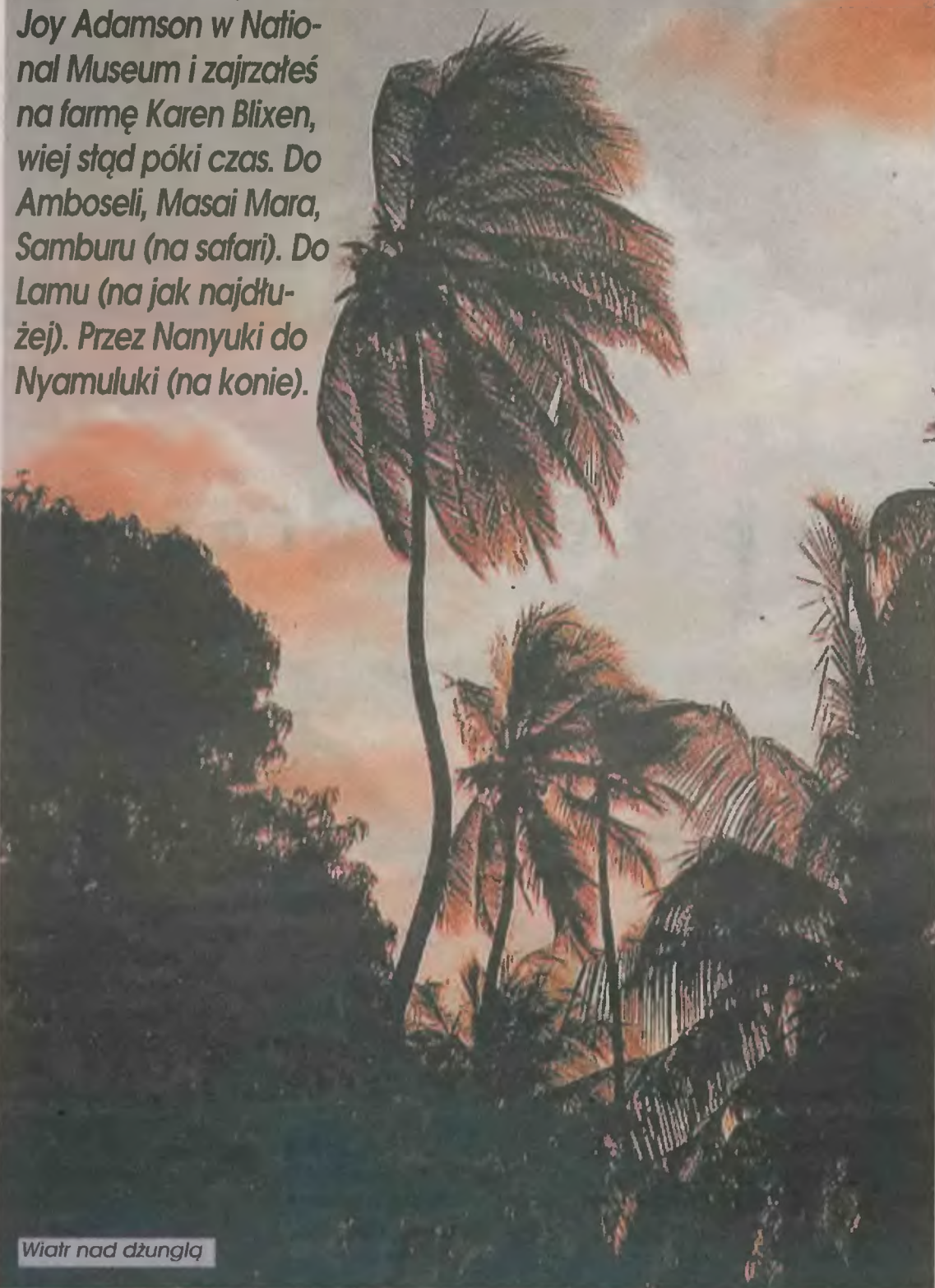
Ale nasz najważniejszy kapitał to kapitał zaufania.



Infolinia: 0 801 111 801 Internet: www.pzu.pl

To nie jest Nairobi z czasów młodego Ryszarda Kapuścińskiego. Jeśli obejrzałeś rysunki Joy Adamson w National Museum i zajrzałeś na farmę Karen Blixen, wiesz stąd póki czas. Do Amboseli, Masai Mara, Samburu (na safari). Do Lamu (na jak najdłużej). Przez Nanyuki do Nyamuluki (na konie).

Trafiło mi się szczęście w Nyamuluki



Wiatr nad dżunglą

Pięćoosobowe taksówki zabierają dziewięciu chętnych do Nanyuki z majdanu w północnej dzielnicy metropolii. Gdy dojedziesz na miejsce szukaj stacji benzynowej z przykrym, murem i hindusami. Tu tankuje pan Grant, właściciel El Karamy. Może akurat będzie i wtedy się z nim zabierzesz. Jeśli nie, musisz wynająć jakiś pojazd. Nieważne który. I tak żaden szofer nie wie, gdzie jest farma Grantów. Zatrąkajcie do pełna. Będziecie mieli szczęście jeśli dojedziecie przed zmrokiem. Ja tarabaniłam się po sawannie do północy. Dopiero następnego dnia zobaczyłam, gdzie jestem.

KIKUJ ZAKŁADĄ UZDĘ

El Karama to raj dla miłośników koni. Można wybierać spośród trzydziestu czystej krwi arabsów. Przeważnie ciemno-siwych i gładkich. Wyszczołkowych nieczym do królewskiej karocy. Po siemniowych doświadczeniach w krajowych

stadninach, tu czujesz się jak basza. Kikuj zakłada uzdę, mocuje siodło, strzepuje pyłki z końskiego zadu. Dyskretnie proponuje pomoc przy wsiadaniu. Przedtem musisz tylko podpisać deklarację, że za wszystko co ci się przydarzy nie odpowiada pan ani pani Grant, nikt z ich rodziny ani żaden z ich pracowników lub agentów. Takie same wywieszki znajdują się w każdej z wynajmowanych globtrotterom chaterek. Podnoszą poziom adrenaliny i uświadamiają realność niebezpieczeństwa, na jakie narażasz się sama za ciężko zarobione w Europie pieniądze.

Kilka razy wybieram się na sawannę w towarzystwie czarnego masztalerza, dwukrotnie z panną Gorią. Dwururka przewieszona przez plecy i pełen naboju pas wokół dziewczynskiej kibi, nie dla kurażu. Od czasu do czasu na pastwiska zakradają się kłusownicy. Wtedy broń może się przydać. Do dzięki zwierzęcy strzelać nie wolno, ponoć nawet w obronie własnej.

Pastwisk nikt tu nie grodzi, konie idą i wracają z nich same. Całe dni spędzają bez opieki człowieka więc nauczyły się rozpoznawać niebezpieczeństwa. Początkowo niewiele z tego rozumiem sądząc, że są płochliwe. Ale one dobrze wiedzą co wolno. Na dystans trzymają się od słoni i bawołów. Z żyrafami są za pan brat. Zebry i antylopy zostały najwyraźniej zaliczone do końskiej rodziny. Nie uciekają na nasz widok, tylko spoglądają obojętnie i zaraz wracają do jedzenia. Strusie, dziki i hieny wciąż same.

W OBLICZU MOUNT KENYA

Posiadłość Grantów liczy kilkadziesiąt hektarów. Zbłądzić nie trudno. Wtedy trzeba spać konia i pędzić na najbliższe wzgórze. I stamtąd wypatrywać smużki dymu. Powrót do domu ułatwia majestatyczny masyw Mount Kenya, drugiego po Kilimandżaro afrykańskiego szczytu. Tak samo pokrytego, tyle że bardziej postrzępioną śnieżną czapą.

O tym jak niedawno zaczęliśmy poznawać tę połąć Afryki świadczy to, że pierwszy Europejczyk zobaczył Mount Kenya w 1848 r. Niedługo potem na stronach „W pustyni i w puszczy” wędrowali tędy Staś i Nel. W 1974 r. na jej szczycie stanęli pierwsi Polacy. Uczestnicy wyprawy poznańskiej weszli trudną drogą Shiptoma i Wyn Harissa na wierzchołek zwany Nelion (5188 m), skąd dwóch przeszło jeszcze na Batiara (5199 m). Jeden z nich, Ryszard W Schramm, pisał, że to najpiękniejszy i najtrudniejszy z wielkich szczytów Afryki.

Do szczególnych poloników związanych z tą górą należy zaliczyć znaną książkę Jomo Kenyatty, późniejszego pierwszego prezydenta Kenii. Opatrzył ją tytułem „Facing Mount Kenya” (coś jakby „W obliczu Mount Kenya”), a napisał w 1938 r. pod kierunkiem Bronisława Malinowskiego.

ZADZIWIAJĄCO POGODNA RODZINA

Najstarsza pani Grant z uśmiechem wyjaśnia: „Jestem konserwatystką”. Jej wnuczka, świeżo upieczona mama, cała pochłonięta wtulonym w pierś malenstwem. Opoowiada w bezruchu bo skrab własnie zasnął. Młodsza, dwudziestoletnia Gloria, należy do tego szczególnego rodzaju białych dziewcząt, którym los zesłał dzierżawę i dojrzałość w buszu. Delikatność, którą można wynieść z prawdziwego domu, i rzeczowość, której uczy każdy afrykański dzień. Trochę nieobecna. Chyba nigdy do końca nie wraca z konnych wódcę po sawannie.

Pan Grant jest Szkotem. Z siwą brodą i furą falujących włosów zdaje się żywcem wyjęty z filmowego kadru. Mówi wolno a przedtem długo się namyśla. Jest niezwykle skrupulatny, wśród afrykańskich wartości prowadzi buchallę spełniającą wyrażone standardy londyńskiego City. Na imię ma Guy. I prosi, żeby tak go nazywać. Nas wypytuje o pierwsze i o drugie imię. Gdy odpowiadamy, ze szczerem uznaniem konstatuje: „ładnie”. Panna Supieżanka z Nairobi mówiąc o nim używała tajemniczego określenia – „zjawisko”. Już rozumie. Daj nam Boże więcej takich zjawisk.

A co może robić żona farmera? To oczywiście, że pani Labinia Grant, córka brytyjskiego pułkownika, rysuje. Gdy dzieci podrosły napisała (i narysowała) mądrą książkę o Nyamuluki, małym miejscu w Afryce, gdzie je wychowała. Kilkastron pieczołowicie wydrukowanych na zamówienie londyńskiej oficyny w Hongkongu. Na mapce przedstawiającej okolice naszego obozu to, co za rzeką Uaso

Nyiro oznaczyła jako „teren niezbadany”. Niezle.

Ten sympatyczny obraz szkockiej rodziny trzeba uzupełnić łyżką dziegciu, a po prawdzie zupy. Byłam u nich na prozonym obiedzie. Typowo angielskim. Przypoda na krawędzi torcji. Nic dziwnego, że w takich okolicznościach trzeba było stworzyć Imperium. Każdy pretekst był dobry by zwiać z objęć fatalnych kucharek!

DOM I OGRÓD

Parterowy i wieloskrzydłowy. Wtulony w ukwiecony ogród. Z tą szczególną atmosferą, którą zapewnia brak wystających progów. Poziom trawy ten sam co desek w salonie. Czy to jeszcze dom, czy to już ogród?

Stare ryciny i skrzynie, bawole i antylopie poroża, skórzane pasy pełne naboju.

W łazience wanna z początków minionego stulecia. I miednica na gęstym stojaku. Nad nim kikujska makatka rozpięta na zwykłych gwoździach. Żadnego przepychu, choć we wszystkim widać znak czyjejś obecności, niekiedy talentu albo przynajmniej sprędy lat.

Ogród zadziwia kolorami, do których w Europie nie nawykliśmy. U nas podobną intensywność i zróżnicowanie barw spotyka się tylko w kiczu.

Wracam wśród potężnych krzewów bugenwilli. Oszałamiające, zupełnie nieznanne zapachy. O natężeniu, które prawie boli i zmusza do zachowania rozsądnego dystansu.

Z KIM PRZESTAJESZ

Pan Grant wypożycza nam na czynia kuchenne i lampę. Wszystko według szczegółowego wykazu („dwa talerze duże, dwa talerze małe, dzbanuszek do śmietanki, deseczka do krojenia jarzyn” itd.). Oczywiście, za osobną, wygórowa-

na raczej opłatą (za lampę na kerozynę 200 szylingów dziennie, gdy nowa lampa, co prawda bez kerozyny, kosztuje 380). Gdy zbieramy się do odjazdu mój przyjaciel pyta sługę Josepha, czy to, co zwracamy zgadza się ze spisem. Joseph dwukrotnie sprawdza ułożony w skrzynce dobytek i potem grzecznie, lecz z całą powagą oświadcza, że nie. Brakuje zapalek!

BRAT SŁOWIANIN

Wędrując obrzeżami Nanyuki trafiamy na zaniedbany ementarz. Zapamiętuję grób Victora Cibulki, urodzonego w Hłubokiej, w nieistniejącej już Czechosłowacji, którego życie dobiegło kresu przed 65 laty. Niech mu się przyśni beczka piśnera i wielka misa knedliczków.

Kilkadziesiąt metrów dalej grób niejakiego Jakovitscha. Może ze Szczepieszy? A na zadbanym ementarzu wojennym mogiły dwóch południowoafrykańskich lotników leżących pod standardowymi nagrobkami z gwiazdą Dawida. Pilota i obserwatora. Zginęli tego samego dnia w 1943 r. W naszych szkolnych podręcznikach głucho o wojnie w tych stronach. A przecież trafiły tutaj wówczas także setki, chyba nawet tysiące polskich sierot, uratowanych z Syberii i Azji Środkowej. Nad jeziorami Wiktorii i w pobliżu tanzanijskiej Aruszy pozostało z tamtych czasów wiele polskich mogił. Część pochłonęła już dżungla.

NIEZAPOMNIANY NASTRÓJ

Wreszcie smakuję Afrykę. Wolna od reżimów i konwencji safari. Głupia cieszę się, że jest niebezpiecznie. Choć zupełnie inaczej niż na ulicach Nairobi. Tutaj ludziom można zaufać. Tylko ludziom.

Gdy któregoś południa wracam sama z farmy do obozu odległego



W tej wiosce też rozpoczęło się trzecie tysiąclecie

Dziewczynka + opona = hula-hoop

o 2 kilometry, pan Grant posyła za mną starego Samburu. Z jeszcze starszą fuzją. Na przestronnej sawannie, gdzie widać na niejednym kilometr, mój opiekun jest spokojny, a jego pies zatacza dalekie kręgi. Na skraju leżącego w obniżeniu obozu kundel z ogonem schowanym pod siebie nie odstępuje nogi pana. A ten nerwowo przerzuca wzrok z jednej na drugą kępę zarośli. Wyraźnie wypatruje cychającego wroga. To bardzo pouczająca historia.

A wieczorem – magia ogniska. Ukorzeniona gdzieś w stuleciach za nami. Namłaska domu. Widoczny

z daleka znak. Sądziłam, że także narzędzie strachu ku obronie przed dzikimi zwierzętami. Cóż za iluzja...

Ósmej nocy, tuż obok tłącego się żaru, wędruje stado słoni. Niestety, nie przechodzi. Gałęzie wokół naszej chatki muszą być diabło smaczne. Serce mi zamiera, gdy słonie, jak to słonie, ciągle o coś zawadza. To o ścianę, to o trzcinowy dach. I trąbią nam prosto do ucha. Pierwszy raz w życiu boję się oddychać żeby nie zdradzić, gdzie jestem.

Gdy o brzasku wykończona zasypiam słyszę jeszcze pomruki lwa

Sen to czy jawa? (Elza z afrykańskiego buszu urodziła się hen za Isiolo, stąd daleko na północ). Pytam potem Josepha, czy widział śimbę. „Dzisiaj nie”. Chałupka Josepha jest jednak z 300 metrów w górę. Może mocno spał, może odowiedziała go dziewczyna z farmy. Chyba jednak to ja za bardzo wzięłam sobie do serca rozwieszone w obozie ostrzeżenia, żeby po zmroku nie wychodzić na dwór nawet za potrzebą. Tak czy inaczej nigdy nie zapomnę tej nocy. Jakże ekscytującej. Nieświadomie chyba upragnionej...

DOBRY DZIEŃ

Przez kilka ranków dyskretnie obserwuję Josepha. Gdy przypuszcza, że jeszcze śpiemy ostrożnie przekłada w stopy drewna z taczek. Cicho stawia przed domem wiadra z gorącą wodą. Tym bardziej niezwykły jest więc dziśniejszy szepc za drzwiami: „Please, Mary, please, look!”.

50 metrów dalej misterium. Cała rzeka paruje a wodopój pełen zwierząt! Żyrafy, antylopy, słonie. Uśmiechem dziękuję Josephowi za ten poranny dar. To dobry dzień.



Owoce baobabu



Afryka, mama i ja

Spróbuj się uśmiechnąć



Zdjęcia płonących wieżowców WTC trafiły na czołówki światowej prasy



Nowojorscy strażacy wynoszą z ruin WTC kapelana Judge, pierwszą ofiarę zamachów terrorystycznych



Spotkali się ponownie 22 sierpnia br. Od lewej: Christian R. Francis, William Cosgrove, John Maguire, Kevin Allen

To była krótka chwila. Fotograf nacisnął migawkę aparatu. Zdjęcie Marcy Borders obiegło cały świat. Wszyscy poznali „kobietę w kurzu”. Stała się sławna, a jej życie leżało w gruzach.

Dzisiaj jest dobry dzień. Może nawet Marcy wyjdzie z mieszkania i odwiedzi siostrę. Może pojedzie do 9-letniej córki. Mała Noelle już blisko rok mieszka z ojcem. „Do diabła! Weź się wreszcie w garść! Znajdź pracę! Przecież przeżyłaś!” – krzyczy do słuchawki matka Marcy, Ruby. I Marcy zastanawia się, czy czasem nie nadszedł już czas na powrót do życia. Dziennikarz magazynu „Stern”, który odwiedził ją w Nowym Jorku, nie miał wątpliwości: „Ta kobieta potrzebuje pomocy”.

Dzisiaj jest dobry dzień. Marcy opowiada, sięga do wspomnień, nawet się uśmiecha i tylko czasem jej drobnymi ramionami wstrząśnie dreszcz. Jej duże oczy stają się dziwnie matowe, gdy mówi ci-

chym głosem: „Kiedyś lubiałam się bawić”. Czy dzisiaj znowu ktoś zadzwoni i zapyta: „Jak się czujesz?” „Jak 12 września” – odpowiada niezmiennie od 11 miesięcy. Dzisiaj jest dobry dzień, bo Marcy nie boli głowa i nie musi sięgać po tabletki. Kiedyś, mówi cicho (a to „kiedyś” oznacza przed 11 września) nie potrzebowała pigułki.

PODCZAS ZŁYCH DNI,

gdy czaszka pulsuje, jakby chciała rozsadzić jej głowę, Marcy sięga po tabletki. Mała, kolorowa pastylka sprawia, że obrazy się rozmywają. Trupy, ranni, płomienie, samoloty, ludzie skaczący ze stumetrowych wież po pewną śmierć. Zdjęcia, które klatka po klatce układają się w uparcie powracający film, tracą ostrość.

Marcy Borders, 29 lat, potrzebuje pomocy. Ale obok nie ma nikogo, kto chciałby ją wesprzeć. A może to ona nie potrafi przyjąć wyciągniętej dłoni? Może dlatego, że mieszka w Bayonne w stanie New Jersey, nazywanym syplnią Nowego Jorku, leżącego po drugiej stronie rzeki? Tam toczy się prawdziwe życie.

W 1992 r. Marcy skończyła szkołę średnią w Bayonne, podjęła studia na uniwersytecie w New Jersey. Gdy dostała dyplom specjalisty ds. zarządzania Chubb Instytutu, mogła przebiegać w ofertach pracy. Wraz z córką prowadziła spokojne życie na sennym przedmieściu Bayonne. Trzy razy w tygodniu odwiedzała kościół baptystów. Tam przychodzili bezdomni, którym nalewała talerz ciepłej zupy. „Zawsze starałam się więcej dawać, niż brać” – mówi dzisiaj.

Latem ub.r. Bank of America zaproponował jej pracę w World Trade Center. Marcy nigdy nie lubiła Nowego Jorku leżącego po drugiej stronie rzeki. Bała się wielkiego miasta, przerażały ją tłumy ludzi, paraliżował strach przed katastrofą w metrze. Nigdy nie była w Central Parku ani na Wall Street, omijała mosty i tunele. Manhattan? To było gdzieś daleko, na horyzoncie wyciągniętej dłoni? Może dlatego, że mieszkała w Bayonne w stanie New Jersey, nazywanym syplnią Nowego Jorku, leżącego po drugiej stronie rzeki? Tam toczy się prawdziwe życie.

Jednak oferta pracy była kusząca – 40 tys. dolarów rocznie oznaczało brak finansowych kło-

potów. 12 sierpnia 2001 r. Marcy po raz pierwszy wjechała windą na 81. piętro północnej wieży WTC. 11 września zdejmowała z koparki ostatnie dokumenty, gdy 12 pięter wyżej w wieżę wbił się uprowadzony przez terrorystów boeing. Budynek zakotłował się niczym statek na falach.

TO WOJNA – POMYŚLAŁA.

„Nie bój się. Uderzył w nas mały samolot” – mówił kolega z sąsiedniego pokoju. Marcy nie uwierzyła. Oto, myślała, nadchodzi apokalipsa. Spełniając się jej najgorsze obawy. Wpadła w panikę i – to uratowało jej życie. Wybiegła na schody, gnana tylko jedną myślą: jak najszybciej znaleźć się na dole. Na 44. piętrze strażnicy chcieli ją skierować do drogi ewakuacyjnej. Pobiegała dalej. Na 33. piętrze spotkała pierwszych wbiegających na górę strażaków. Dziś wie, że wbiegali po śmierć. Na 25. piętrze zauważyła, że ze ścian leje się woda. Mężczyzna, który siedział na nią, zawrócił. O, Boże, co robić? – myślała gorączkowo. Na dół! Schodziła po

schodach. I śpiewała. „Moje życie jest w twoich rękach, nie musisz się bać. Wiem, że podolan”. Ta śpiewana w kościołach pieśń Kirka Franklina do dziś kołata się jej w głowie.

Po godzinie i dwudziestu minutach była na dole. „Bez paniki” – powiedział policjant. Pobiegła dalej. Upadła. Podniosła się i znowu biegła. I wtedy za plecami usłyszała huk. „Nie odwracaj się!” – krzyknął strażak. Wtedy zawałiła się wieża południowa.

„NIE CHCĘ UMIERAĆ!”

– krzyknęła, gdy podmuch powietrza zwałił ją z nóg. Wszystko dookoła było czarne. Myślała, że nie żyje. Ulice wypełniły tumany gęstego kurzu. Marcy nie nie widziała. Ten kurz był wszędzie. W nosie, w ustach, na całym ciele. Jej ubranie pokryło kilka centymetrów szarego pyłu. Jakis mężczyzna (pamięta, że był bez koszuli) pomógł jej podnieść. Dziś myśli, że to był jej anioł stróż. Bez niego nie dałaby rady. Szukała go później. Nikt go nie widział. Pewnie wrócił do wieży, aby pomóc innym. I zginął.

W chwili, gdy Marcy spojrzała, jak on odchodził, fotograf nacisnął migawkę aparatu. Zdjęcie Marcy obiegło świat.

Na drzwiach mieszkania Marcy ktoś przykleił małą amerykańską flagę i kartkę z napisem: „09.11.01. Bayonne Columbine Committee. Zapewniamy pomoc”. „Pomoc?” – dziwi się Marcy. Dwa dni po katastrofie zadzwonili z banku. Dali jej tydzień, aby ochłonęła i wróciła do pracy. Minął prawie rok.

W banku twierdzą, że proponowali Marcy inną pracę, z dala od centrum miasta. Nie chciała. „To nieprawda” – twierdzi. Ale nie była zdolna do pracy. Przez kilka miesięcy bała się wyjść z domu. Leżała na sofie, płakała, jadła tylko zupę z puszki. Uspokojenia szukała na dnie kieliszka, wtedy mogła zasnąć i śnić bez koszmarów. Na szczęście ojciec Noelle zabrał córkę do siebie. Na szczęście rodzina płaciła co miesiąc 175 dolarów czynszu za mieszkanie.

KILKASET DOLARÓW

dostała od Czerwonego Krzyża. Ale nikt nie dał jej tego, czego najbardziej potrzebuje – wsparcia psychologicznego. Czerwony Krzyż oraz urzędnicy w New Jersey i Nowym Jorku twierdzą, że proponowali jej pomoc. Nie chciała? To typowo amerykańskie mniemanie, że pieniądze wszystko naprawia, nawet chorą duszę. Marcy jest przegrana. A przegranych nikt w Ameryce nie lubi.

Kilka tygodni temu zadzwoniła do Białego Domu. Urzędnik, który z nią rozmawiał, był bardzo miły. Po dwóch dniach z Waszyngtonu przyszedł list. Podziękowania za telefon, lista organizacji humanitarnych pomagających ofiarom 11 września i najlepsze życzenia od prezydenta Busha. Po kilku dniach zjawili się dwóch pracowników Armii Zbawienia. Zostawili kilkanaście różnych formularzy do wypełnienia. Takich samych, które już wypełniała.

CAŁY ŚWIAT

zna zdjęcie pokrytej kurzem Marcy. A urzędnicy zażądali, aby udowodniła, że przeżyła katastrofę 11 września w jednej z wież WTC. Cały świat wie, jak cierpią rodziny ofiar i ci, którym udało się przeżyć. Jak Marcy ma udokumentować swoje cierpienie?

Czasami wyjmuję z szafy plastikowy worek, w który zapakowała pokryty kurzem kostium, jaki miała na sobie 11 września. Nazywa go „szczęśliwym kostiumem”. Pewnego dnia przekaże go córce, gdy ta podrośnie i przestanie pytać: „Mamo, dlaczego płaczesz?”.

Gdy przychodzi dobry dzień, Marcy myśli o przyszłości. Znałabym pracę, wychować córkę, spać spokojnie w nocy. Dostaje tysiące listów z całego świata. Ktoś przysłał pluszowego misia, inny 500 dolarów. Elizabeth z Oklahomy napisała: „Spróbuj się uśmiechnąć”.



Marcy Borders potrzebuje pomocy



Zdjęcie „kobiety w kurzu” obiegło cały świat



1. CHRISTIAN WAUGH, 55 lat, strażak. Razem z czterema kolegami próbował ratować kapelana nowojorskich strażaków, wynosząc go spod wieży południowej. Kapelan Judge został oficjalnie uznany za pierwszą ofiarę zamachów z 11 września. Jego akt zgonu nosi numer 00001. Do dziś w snach powracają twarze tych, którzy zginęli. Po 29 latach pracy myśli o przejściu na emeryturę.



3. RACHEL UCHITEL, lat 27, dziennikarka. Na 104. piętrze WTC zginął jej narzeczony Andy O'Grady. Dwa dni wcześniej wrócił z urlopu w Grecji. Do dziś brzmiały jej w uszach jego ostatnie słowa: „Widzę, jak ludzie wyskakują z okien”.



5. BOB BECKWITH, od 8 lat emerytowany strażak. 14 września pojechał do Strefy Zero, aby pomóc w akcji ratowniczej. Strażacy szukali pod gruzami tych, którzy mogli przeżyć. I właśnie wtedy ruiny WTC odwiedził George Bush. Na wspólnej fotografii amerykański prezydent obejmuje amerykańskiego strażaka.



7. MIKE KEHOE, strażak. Jego fotografia, gdy wbiegł po schodach na 71. piętro płonącej wieży, stała się dla Amerykanów symbolem nadziei i odwagi. Przeżył – jego sześciu kolegów zginęło. Po dwóch miesiącach pojechał do Strefy Zero na Manhattanie. Myśli, że powinien czuć się winny, że przeżył. Był jednak szczęśliwy.



2. ED FINE, biznesmen. 11 września przyjechał na 78. piętro północnej wieży WTC. Jego zdjęcie – w pokrytym pyłem garniturze, ściskającego w rękę teczkę z aktami, trafiło na okładkę magazynu „Fortune”. „Bóg patrzył na mnie” – napisał w esej o 11 września. Jest przekonany, że nie wolno się poddawać, że tragiczne wydarzenia z września ub.r. wzmocnią amerykański naród.



4. JULIE McDERMOTT, sekretarka na 78. piętrze WTC. Gdy rano 11 września zakłóciła się wieża, pomyślała o trzęsieniu ziemi. Ponad godzinę zbiegała schodami na dół. Zdażyła. Po dwóch tygodniach wróciła do pracy. Uważa, że życie toczy się dalej. Taki jest Nowy Jork.



6. SONIA ROSS, dziennikarka. Była na pokładzie samolotu prezydenta USA Air Force One, gdy planął Pentagon, a wieża WTC złożyły się jak domek z kart. Przez dwie godziny paraliżował ją strach, czy maszyna zdoła wylądować. Tamte wspomnienia powracają do dziś.



8. THOMAS FRANKLIN, fotoreporter „Daily Record”. 11 września 2001 r. o godzinie 17.01 nie wiedział, że zrobił historyczne zdjęcie. Trzej strażacy wciągający amerykańską flagę na ruinach WTC. Fotografia trafiła na okładki światowych magazynów oraz na znaczek pocztowy za 45 centów. Oryginał sprzedano na aukcji za 89 tys. 625 dolarów. Thomas Franklin nadal pracuje w „Daily Record”.

Chemia to kolorowe tabletki. Czerwone, żółte albo białe, takie przezroczyste. To wygląda normalnie, ale jakie ma skutki! Nie idzie od razu tam, gdzie trzeba, tylko przez cały organizm – tłumaczą dziesięciolatk.

Agnieszka, Andżelika, Klaudia i Sandra siedzą na podłodze szóstego pokładu promu Silesia. Pierwszego dnia rejsu była dyskoteka. – Było suuper! Tylko że chłopcy nie chcieli tańczyć. O ten... trzeba go było wyciągać: idziemy! A on stoi na parkiecie i tu ręką pomacha, tu nogą pomacha – opowiada Agnieszka. – Chi, chi! – śmieją się pozostałe.

– W całej Polsce na ostre nowotwory choruje co roku 1200 dzieci. To liczba stosunkowo niewielka, w porównaniu ze 100 tys., a może nawet więcej u dorosłych. Ale to poważny problem – mówi dr hab. Jacek Wachowiak, szef Kliniki Hematologii i Onkologii Dziecięcej Instytutu Pediatrii Akademii Medycznej w Poznaniu. – Te właśnie nowotwory u dzieci powyżej 1 roku życia stanowią najczęstszą przyczynę zgonów po nieszczęśliwych wypadkach.

NA SILESII

wszędzie pełno gwaru. Dawno tu nie było tak wesoło. Dzieciaki zaglądają do restauracji, do pomieszczeń dla załogi, do sklepów wolnocelowych. Co chwilę z hurgotem przemyka kilkunastoosobowa grupa. W kabinach trwają przepychanki: – Ci chłopcy to... trudno powiedzieć. Bardzo dzicy. Porywają coś z pokoiku i biegają po całym statku – oceniają dziewczyny. Kapitan Kazimierz Michałowski zala muje ręce: – No, nie upilnujesz! – mruczy. Ale uśmiecha się, ilekroć któreś chce zrobić sobie z nim zdjęcie.



Każdy chciał mieć zdjęcie z kapitanem

Jestem panem



Ostatnie uściski, rady, tzy. Za chwilę Silesia wyjdzie w morze

Ta grupa 53 dzieciaków po i w trakcie leczenia pochodzi z Poznania. W ramach programu „Otwórzmy dzieciom świat” wypłynęły w rejs, po raz szósty organizowany przez Polską Żeglugę Bałtycką dla fundacji Jolanty Kwaśniewskiej „Porozumienie bez barier”. Tym razem na szwedzką wyspę Gotlandię. Po drodze Sztokholm na rowerze, jeszcze jeden prom, kąpiele w morzu, muzeum Pippi Langstrumpf, które objadają kolejką. Ale to niespodzianka.

Każde z nich w klinice AM przeszło dwu-, trzyletnie leczenie. – Daj Boże, kiedy po tym czasie wszystko się dobrze układa. Wtedy kończymy – mówi dr Wachowiak. – Była jednak, że dochodził do wznowień, wówczas ponownie po-

dejmuje próbę. Leczenie składa się z różnych etapów: na początku bardzo intensywna chemioterapia, potem nieco mniej intensywna, w końcu leczenie podtrzymujące. Dopiero ten etap można prowadzić w warunkach ambulatoryjnych, tzn. dziecko jest w domu, przyjeżdża do poradni. Pierwszych kilka miesięcy bez przerwy spędza w szpitalu

– Wszyscy się starają, żeby było miło, ale wcale nie jest. Ani trochę. To najgorsze miejsce na całej Ziemi – mówi Andżelika.

– W SZPITALU JEST OKROPNIE

– dodaje Klaudia. – Gorzej niż w więzieniu. – I w szkole! A te pledki, chemia i to wszystko: ble! – mówi Agnieszka. Zaraz

dodaje, że musiała sobie ściąć włosy. – A ja nie mam – Andżelika pokazuje ażurową, dzierganą na drutach czapkę. 10 sierpnia skończyła leczenie. – Nikomu nie życzę, nawet wrogowi!

Silesia przemierza Bałtyk, kierując się do miasteczka Nynäshamn – 60 km od Sztokholmu. Trochę buja. – Ja nie mam zazwyczaj choroby, ale mama mi dała aviomarin. Powiedziała, że mam wziąć, ale zapomniałam i nic mi nie było – chwali się Andżelika. – Ja lubię jak coś buja – dodaje Klaudia.

Po dyskotekach wszystkie zostały zagonione do koi. – I tak położyliśmy się spać o pierwszej! – chwali się. – I morze szumiło. Mnie najlepiej się śpi w samochodzie, w pociągu i na statku. – O nie, ja nienawidzę. – Sąsiedzi pukali w ścianę. – Ja już wcześniej pływałam, ale turystycznym statkiem i nie spałam. Za chwilę lekarki zwołują grupę. Pomaga pani z recepcji – głośniki słychać na całym statku: „Dzieci z fundacji zgłoszą się...”.

KAPITAN ZAPROSIL JE NA MOSTEK.

Dzieciaki oblepiają go gęsto. – Co to? – pytają. On odpowiada, żywo gestykulując: – Radar. Ta kropka to my. To nasz kurs. To tamten statek – nie zniechęcony znów daje się fotografować. Sternik z obawą w oczach puszcza ster, by na zdjęciu było widać, że Silesia kierują dzieci. – Robię za gwiazdę! – wzdycha kpt. Michałowski. – Sterujcie, bo ja mam sesję zdjęciową. Modele

zmieniają się raz za razem. I flesze. – Jeszcze ja, jeszcze ja!

Za chwilę wszystkie zbierają się wokół map, na których kapitan kreśli palcem kurs i pokazuje dokąd płyniemy. Cisza trwa krótko. Któreś dostrzega okrętowy dzwon. Tak długo nekają kapitana, by pozwolił im tam zejść, że ten wreszcie kapitułuje. – Tylko małymi grupkami! – woła jeszcze. Ale każdy chce stanąć na dziobie, rozłożyć ręce i krzyknąć: „Jestem panem świata!”. Jak w „Titanicu”, tylko tu nie można podejść tak blisko krawędzi. – Co ja zrobiłem – kapitan łapie się za głowę. – Przecież to niedozwolone! Ale jak tu odmówić TAKIM dzieciakom!

– One są niesamowite – mówi Bohdan Paszukow, dyrektor przedstawicielstwa PZB w Warszawie. Co rok walczy o kolejną wycieczkę, wydzwania po sponzorach, organizuje. – One mają w oczach coś takiego... Podczas któregoś z poprzednich rejsów płynął taki chłopiec, urodził się ze zdeformowanymi nogami, potem zapadł na nowotwór. Serce się kraje! Wszedłem na dyskotekę, patrzę a on tańczy o laskach. „Wytrzymasz?”, pytam. „Wytrzymam. Muszę się pobawić, bo ile mi jeszcze zostało”, powiedział. Tym mnio rozmiękczył – wspomina Paszukow. Wieg rok w rok – od sześciu lat – daruje im te chwile radości. – Żyją tak, jakby miały wrażenie, że coś jest ominię – mówi. – Niektóre już wszystkie pieniądze wydały – wzdycha dr Katarzyna Stefanska. Któraś z dziewczynek

świata!

z całych sił ciągnie ją za rękę, by doradziła w wyborze bluzki. Wszystkie prawie chodzą w jednakowych. Kupiły w sklepie bezcłowym. Inne zachwycają się poduszkami w krowie łatki. – Jeszcze prezent dla mamy, taty, brata, kuzyna – wzdycha Klaudia. Rodzice się cieszą.

– Czekając na pociąg w Poznaniu rozmawiałem z jednym z rodziców – mówi dr Jacek Wachowiak. – Powiedział, że oczekiwał prawdy w oczy. Tak też informujemy, kiedy już mamy absolutną pewność, jak najdelikatniej potrafimy. Trudno mi wczuć się w stan, w którym znajdują się wtedy rodzice. Podchodzą do tego bardzo różnie. Większość jak do wyzwania i wszystkie działania ukierunkowują na to, by mieć pewność, że zrobili wszystko, co można w danej chwili zrobić. Dzieci raczej chronimy przed całą prawdą. Z mojego punktu widzenia to rodzaj nieustannej walki. Trafia do nas nowy pacjent, jest nowy nowotwór, staramy się go jak najskuteczniej zniszczyć.

Wieg dzieci lykają czerwone, żółte i przezroczyste tabletki, podają się naświetlaniom, w niektórych rodzajach raka – przeszczepom szpiku. – Jak coś się kończy to jest taki szok: jak to, już nic nie ma? Żadnych naświetlań? – wspomina 17-letnia Paulina, jedna z najstarszych uczestniczek rejsu. Ona i jej rówieśnicy szpital wspominają równie nieprzyjemnie jak młodsze koleżanki. Powody są inne: – Zamiast spotkać się w kawiarni, spotykamy w przychodni – mówią. Do Piotra,

kiedy leżał w szpitalu, kiedyś przyszła prawie cała klasa. Sami wpadli na ten pomysł. – Lekarze nie pozwolili na wizytę – opowiada Piotrek. Jest po jednym leczeniu, ale być może znowu wróci do kliniki.

MA NAWRÓT CHOROBY.

Do Kliniki Hematologii i Onkologii Dziecięcej w Poznaniu trafia każdego roku około 100 – 120 dzieci z nowym rozpoznaniem nowotworów, czyli około 10 proc. wszystkich polskich dzieci chorych na raka. – Wydawałoby się, że to tylko 100 – 120, ale powiem, że duże ośrodki europejskie przyjmują około 40 – 60 dzieci – mówi dr Wachowiak. – Konieczność długotrwałego leczenia, leczenie powikłań, to wszystko powoduje, że rocznie jest około 3 tys. hospitalizacji. To suche liczby, ale każdy przypadek traktujemy indywidualnie.

– Ja na początku nie wierzyłam, że jadę. Nawet jak byłam w pociągu to jeszcze nie wierzyłam. A jak przyjechałam do Gdańska, to myślałam, że to Poznań – mówi Andżelika. – Tylko dzięki tacie pojechałam. Bo mama by mnie samej nie puściła. Na początku też się bałam. To znaczy, jak usłyszałam, że jest wyjazd do Szwecji, to cieszyłam się jak nie wiem! Ale mama usłyszała w radiu, że mogą być terroryści na promach i się wystraszyła. Ale jak wczoraj przyszedłam na prom, to ani trochę nie żałowałam.

– A moja mama mi tysiące razy powtarzała: pilnuj pienię-

Sandra, Andżelika, Klaudia i Agnieszka długo nie mogły uwierzyć, że popłyną w rejs



Zdjęcia: Bartosz Lewicki



Kpt. Michałowski: – Im nie można niczego odmówić

dzy, pilnuj paszportu, pilnuj wszystkiego – dodaje Agnieszka. Są tak rozradowane, że trudno uwierzyć w opowieści o tym, co przeszły. Na razie myślały tylko o Gotlandii.

Na szczęście od kilkunastu lat polskie wyniki walki z rakiem są porównywalne z tymi z Zachodu. – Najczęstszym nowotworem u dzieci w Polsce i wszędzie na świecie są białaczki, stanowiące około 45 proc. nowotworów dziecięcych, szczególnie zaś ostra białaczka limfoblastyczna. To 30 – 33 proc. nowotworów u dzieci – mówi dr Wachowiak. – Proszę sobie wyobrazić, że dziś udaje się uratować 80 – 82 proc. wszystkich małych pacjentów z tą chorobą. Większość z tych na pokładzie było chorych na ostrą białaczkę limfoblastyczną i

ZOSTAŁY WYLECZONE.

Kilka z nich jest w dalszym ciągu w trakcie leczenia, ale to już jest leczenie podtrzymujące. Są w stanie skorzystać z planowanych atrakcji: wycieczek rowerowych, kąpiele w morzu, całodziennego zwie-

dzania Sztokholmu. Myślę, że będzie to miało na dłuższą metę znaczenie terapeutyczne. Taki wyjazd pogłębia poczucie, że są zdrowe, skoro mogą pluścić się w morzu, być puszczone na tydzień za granicę bez rodziców, pozwala się im zapo-

mnąć o problemach, które mimo wszystko ich nurtują.

Prom dopływa do Nynäshamn. Marynarze z Silesii starają się nie po sobie nie pokazywać. Ale tłumnie wyszli przed recepcję, by pożegnać pasażerów.



Prom zbliża się do Szwecji



1980

WIESŁAW S. DĘBSKI

ZAKAMARKI DYPLMACJI



Ich drogie euro

Tegoroczny wyjazd wakacyjny na południe Europy był dla wielu wczasowiczów okazją do pierwszego kontaktu z euro. Kontakt, dodajmy, nieco szokującego.

Ceny w nowej walucie dość luźno się bowiem miały do tych w lirach czy frankach. Choć istnieją oficjalne przeliczniki, a wymiana pieniędzy miała przebiegać bezboleśnie, to napisy na sklepowych witrynach i półkach wskazywały, że waluta przeliczona została nie na podstawie bankowych tabel, lecz – najczęściej – szacunków i potrzeb sprzedawcy. Turyści chodzili, oglądali, ale w końcu coś przecież kupowali, wszak głupio z pustymi rękoma wracać z zagranicznych wojaży. A i kawę też trzeba wypić, choć jest dwa razy droższa niż przed rokiem. Co o „operacji euro” przy tej okazji mówili, lepiej nie powtarzać.

Dla przybysza z kraju kandydującego do UE przeżycie było szczególnie bolesne. Chodził nieboraczek po sklepach, przeliczał, porównywał z rokiem poprzednim (jeśli miał oczywiście szczęście wypoczywać w tym samym kraju) i smucił się coraz bardziej. Wiedział bowiem, że wcześniej czy później euro dotrze i do jego kraju. A wtedy też będzie chodził, przeliczał, porównywał z rokiem poprzednim. I zapewne wyjdzie mu, że ów sklepowy kurs złotego, korony lub forinta znacznie różni się od bankowego.

Narzekała jednak nie tylko turyści. Także rodowici mieszkańcy strefy euro mają kwaśne miny. Niedawno protestowali Włosi, bojkotując sklepy. Akcja nie była

może masowa, ale i tak dokuczliwa dla nieuczciwych sprzedawców, szczególnie dla sieci wielkich marketów (tak, tak, oni też postanowili nieco zarobić na wymianie lira). Jedynymi zadowolonymi pozostają chyba ci, którzy nlelegalnie wyławiają monety z rzymskiej fontanny di Trevi, wrzucane tam przez marzących o powrocie do słonecznej Italii turystów. Rekordzista wyłowił podobno jednorazowo 1 tys. euro, przynajmniej nie ważyło tyle, co w lirach...

Kilka dni temu protest powtórzyli Grecy, wielkim łukiem omijając mniejsze i większe sklepy. W wielu z nich odnotowano podobno spadek liczby klientów nawet o 70 proc., a na słynnej ateńskiej Ermu – jak pisały agencje – ziało pustką!!! Organizacje konsumentów podały tego dnia, że ceny towarów wzrosły w Grecji w ciągu ostatniego roku od 11 do 40 proc. Rzeczywiście można się wkurzyć.

Euro to jeden ze sztandarowych symboli integracji europejskiej. Jak wiadomo, politycy mówią o niej zawsze w wielkim uniesieniu. Pada wiele mądrych słów, obietnic, kreślone są wspańskie perspektywy. W różnych krajach usilnie pracują odpowiednicy naszego ministra Sławomira Wiatra, informując, przekonując, zapewniając. I nie mam wątpliwości, że racja jest po ich stronie. Dobrze jednak pamiętać, że owa integracja ma też i takie strony, jak ta opisana powyżej – już dzisiaj kombinując jak się nie dać zrobić na szaro. Bo i nasi sklepikarze będą kiedyś zamieniać złotówki na euro. Oj, może zaboleć...

TYMON TYMAŃSKI



FELIETONY Z PRZEPONY

Tańcząc w prowincjonalnym Trójmieście

W ostatni weekend postanowiłem się nieco odchałnić. Granie czy słuchanie ambitnej muzyki w piwnych knajpach do wtóru szczęku kufli i brzęku sztućców oraz belkotliwych rozmów, to ostatecznie nie jedyna artystyczna przygoda warta grzechu. Skorzystałem z zaproszenia na czterodniowy festiwal Trójmiejskiej Korporacji Tańca, który odbywał się w nowej siedzibie gdańskiego klubu studenckiego Żak.

Leszka Bzdyla, wybitnego tancerza i założyciela teatru tańca Dada von Bzdulow, poznałem dopiero na tegorocznych warsztatach w Olecku; przedtem mijaliśmy się jakoś pośród natłoku koncertów i realizacji. To Leszek wpadł na pomysł zorganizowania kilkudniowego przeglądu nowej sztuki tanecznej; część artystów rekrutowała się z jego byłych współpracowników, którzy porożjeżdżali się po całym świecie. Obcując z różnego sortu wybrzeżowymi artystami ocieram się często i o tancerzy. Sporo mych znajomych, adeptów tradycyjnych szkół baletowych, postanawia pójść własną drogą i stwo-

rzyć własny, często jednoosobowy teatr tańca.

Podziwiam tych zdeterminowanych ludzi. My, muzycy, mamy zdecydowanie łatwiej – gatunek przez nas uprawiany wydaje się być bardziej socjalnie użytkowym, muzyka (choć nie zawsze taka, jakiej by się chciało słuchać) wdziera się do ucha niemal na każdym kroku. Na spektakl teatru tańca trzeba po prostu chcieć się wybrać; trudno nań trafić przypadkiem, ot, odwiedzając dawno nie uczęszczany pub czy klub studencki. Jego atmosfera o wiele bardziej niż na koncercie akcentuje „sacrum” sceny; widzowie oglądają podkreślony grą światła szlachetny płas w absolutnej ciszy, chłonąc akcję i dramaturgię ruchu scenicznego z namaszczeniem podobnym religijnej kontemplacji.

Na gdańskie festiwalowe spektakle składały się kameralne etiudy taneczne, trwające maksymalnie do dwudziestu pięciu minut. Najbardziej podobały mi się kreacje samego maestro Bzdyla i jego wieloletniej partnerki Kasi Chmielewskiej oraz solowe ujawnienia Rafała Dziemidoka, Magdy Jędry i Anny Haracz. Nielatwo jest opowiadać

ciałem; z drugiej strony bardzo często artyści związani z wizualną domeną sztuki zbyt skupiają się na technice, świetle, efekcie. Zapominają, jak ważna i nadająca dziełu spistości jest narracja, fabuła – nawet jeśli abstrakcyjna, absurdalna czy totalnie niesemantyczna.

Rzeczono przedstawienia najwyraźniej opowiadały jakąś historię, przemawiały do widza urzekającą bezpośredniością ruchu, gestu i mimiki. Klasę tancerzy potęgowała ich niesamowita sprawność, dynamika, nieanatomiczne wręcz trajektorie ewolucji i obrotu kończyn. Jako karateka-amator poczułem się niezwykle zainspirowany; miałem wrażenie, że współczesny taniec to najdoskonalszy mariaż conceptualnej sztuki i uwagi wobec ciała, w innych dyscyplinach tak często zaniedbanego, pokurczonego i zablokowanego. Podobnie jak w sztukach walki, maksymalna moc i przekaz energetyczny uwalniają się tylko w przypadku pełnego kontaktu artysty ze swoim ciałem, wiedzy o jego możliwościach i ograniczeniach, świadomości jego napięcia i rozluźnienia.

Ku swojemu zaskoczeniu, w wybrzeżowych gazetach nie znalazłem prawie ani jednej recenzji opisywanej przeze mnie imprezy. Czyżby w zdeprawowanym upale i karygodnym poziomie kolejnego sopockiego festiwalu piosenki prowincjonalnym Trójmieście działo się aż tak wiele, żeby pomijać podobnie istotne wydarzenia kulturalne?

PRZEMYSŁAW SZUBARTOWICZ



CODZIENNIE I PRZEZ CAŁY CZAS

Dzieciństwo rozumu

Jak się zdaje, dwa ważne postulaty przypomniane światu przez Bertranda Russella przed niespełna stu laty, do dziś pozostają mrzonką sceptyków: 1) aby miarą stosowaną przy powierzaniu ludziom zajęć było uzdolnienie do ich pełnienia; 2) aby jednym z celów wychowania było wyleczenie ludzi ze zwyczaju dawania wiary nie udowodnionym twierdzeniom. U nas nie tylko lekceważy się te zasady, ale nawet, jeśli dobrze się przyjrzeć, mamy do czynienia z propagandą zasad wręcz odwrotnych. Dotyczy to zwłaszcza punktu drugiego.

Russel był optymistą. Twierdził na przykład – a były lata 20. minionego wieku – że wszelki rodzaj wierzeń religijnych zaginie bezpowrotnie, bowiem wierzenia te są nieodłączną cechą dzieciństwa rozumu ludzkiego i oznaką fazy rozwojowej, z której wyrastamy. Niestety, mylił się, choć trudno nie podzielać jego poglądów. Wciąż

na całym świecie fanatycy zaświatów, jak nazywał religijne zaślepienie nieodczulony profesor Andrzej Kasia, dyktują warunki. Przybiera to rozmaite formy, tragiczne (wspomnijmy atak na Amerykę) albo groteskowe, ale zawsze gwałcące rozum. W Polsce widać to wyraźnie w życiu społecznym i politycznym, choć w większości wypadków w naszej religijności nie tkwi nawet ulamek szczerości.

Spójrzmy na życie praktyczne. Pamiętamy akcje policji państwowej, która w towarzystwie księży zatrzymywała kierowców, a innym razem rozdawała medaliki ze świętym Krzysztofem. Religia już dawno temu została wyprowadzona z przykościelnych sal katechetycznych i wprowadzona do publicznych szkół. Prezentery telewizji publicznej nazywają papieża Ojcem Świętym. Sejm przyjął przez aklamację uchwałę, że papież dał Polsce nieocenione wskazówki moralne. I tak dalej.

Jest też inna strona medalu. Nasze życie intelektualne zdominowała opi-

nia, że istnieją pewne uniwersalne reguły, których łamać nie wolno. Innymi słowy: żyjemy w świecie nieprzekraczalnych szlaków myślowych. Na przykład arcybiskupa Józefa Życińskiego uważa się za bardzo światłego myśliciela katolickiego, choć zwykle powtarza on zawiłe frazesy, nie wnoszące niczego ciekawego do intelektualnego życia, które powinno być przecież twórcze, a nie związane więzami dogmatów. Jerzego Urbana, wybitnego felietonistę, a kto wie, czy nie jednego z ostatnich publicystów ratujących honor polskiej inteligencji, odsądza się od czci i wiary, bo napisał świetny satyryczny tekst o papieżu – nikt nie rozumie, że Urban nie obraża, lecz zauważa. „Gazeta Wyborcza”, uchodząca w Polsce za nowoczesne, światłe i rozsądne pismo inteligencji, nie protestuje, gdy ciąga się po sądach artystów, którzy „obrazili uczucia religijne” – dlaczego nie widzi powodu do protestów?

To wszystko – a są to tylko chaotycznie wybrane z pamięci świadectwa, które przytaczam, choć wiem, że uchwycenie ich symbolicznego znaczenia wykracza poza granice powszechnie przyjętych kanonów – nie daje szans myśli Russella. Jeszcze długo nie wyrośniemy z fazy dzieciństwa umysłu – i nie dotyczy to tylko wierzeń religijnych.

p.szubartowicz@trybuna.com.pl

Nowości kosmetyczne

Terapia Odmładzająca to seria pielęgnacyjna firmy Mincer z wyciągiem z liści afrykańskiego baobabu. Ekstrakt z winogron, mikroalg, kompleks z fitohormonów roślinnych – wszystkie te składniki znajdziemy w nowej serii. Pod wpływem ekstraktu z liści baobabu skóra staje się sprężysta, jedna i aksamitnie gładka. Wyraźnie poprawia się jej koloryt. Wyciąg z liści baobabu jest szczególnie polecany do pielęgnacji suchej i zmęczonej cery. To wyjątkowe drzewo może rosnąć nawet przez 5 tys. lat, posiada niezwykle zdolności magazynowania wody. Mięsz liści baobabu afrykańskiego stanowią biopolimery, które wiążą duże ilości wilgoci i tworzą hydrożel. Terapia Odmładzająca z wyciągiem z liści baobabu zawiera krem na dzień, maseczkę – serum, tonik odświeżający i mleczko oczyszczające. Ceny od 16 do 19 zł.



Novadiol na noc to nowy krem Vichy przywracający gęstość i gładkość skóry. Kondycja skóry i skóry jest związana z gospodarką hormonalną. Dobry stan zdrowia tych tkanek zależy od ich

zdolności odnawiania się. W okresie menopauzy odnawianie to ulega spowolnieniu, skóra zapada się i wiotczeje, a kości stają się porowate i suche. Wyjątkowe połączenie dwóch składników – Fito-Flawonu i Biofenonu hamuje utratę gęstości i stymuluje mikrokrążenie, które w czasie snu jest wolniejsze. W efekcie rano na skórze mniej widoczne są obrzęki i „zagniecenia”. Czas powrotu naskórka do stanu wyjściowego po przebudzeniu u kobiet po 50. roku życia jest trzykrotnie dłuższy niż u osób młodszych. Fito-Flawon stymuluje odnowę komórkową i przyspiesza odwarzanie prawidłowej struktury skóry, Biofenon, dzięki zawartości kofeiny zmniejsza opuchlizny i stymuluje metabolizm komórek. Poj. 50 ml, cena 98 zł. Produkt dostępny tylko w aptekach.

Shauma wprowadza na rynek nowe szampony o zwiększonej o ponad 70 proc. zawartości witamin. Zmianie uległo także opakowanie produktów. Wszystkie nowe Shaumy zawierają więcej witaminy B5, która wzmacnia, nawilża i regeneruje włos, a także łagodzi podrażnienia skóry i działa przeciwzapalnie. Zawarta w kosmetykach witamina B3 reguluje procesy łojotokowe skóry. W linii Shauma znajdują się szampony przeznaczone do pielęgnacji różnych rodzajów włosów: przeciwłupieżowy, ziołowe, specjalne dla dzieci, dla mężczyzn, a także szampony z odżywkami – z protein młeka do włosów suchych i zniszczonych, energia z wyciągiem z limonki i wapnia do włosów normalnych. Cena ok. 7 zł.



Nivea Lip Care Strawberry to nowa pomadka pielęgnacyjna do ust o smaku truskawkowym. Nowa pomadka nie tylko pozostawia na ustach przyjemny owocowy aromat ale sprawia, że skóra ust staje się miękka i delikatna. Usta nabierają delikatnego połysku w kolorze truskawkowym. Wszystko to za sprawą cennych składników pielęgnacyjnych: witaminy E, olejku jojoba, olejku migdałowego i masła Shea, które nie tylko skutecznie pielęgnują usta, ale i chronią przed wysuszeniem nawet w niskich temperaturach i suchym powietrzu. Cena ok. 8 zł.

Zdjęcia: Nike i DP

Trening XXI wieku

Nowe milenium wydaje się kojarzyć z ultranowoczesnym światem high-tech. Aby stworzyć nową kolekcję ubrań dla kobiet uprawiających sport w XXI wieku, Nike szukała inspiracji w stolicach fitness we wszystkich zakątkach świata. I jakie są rezultaty tych poszukiwań? Okazało się, że współczesne ubrania sportowe nie muszą wyglądać supernowocześnie, ale gdy chodzi o funkcjonalność i jakość muszą być szczytem nowoczesności.

Zmieniają się mody na uprawianie sportów, ale ubrania z kolekcji Nike mają spełniać potrzeby kobiet bez względu na rodzaj uprawianej przez nich dyscypliny, czy stopnia zaawansowania. Kolekcja jest na tyle różnorodna i uniwersalna, że pozwala właściwie na kierowanie się jednym – wygodą. Projektantka Debby Prang doskonale zdawała sobie sprawę, że współczesny trening to także rozgrzewka i specjalne ćwiczenia na zakończenie. Dlatego linia Total Conditioning ma być przede wszystkim uniwersalna. Ubrania wykonane są ze specjalnych włókien, jak np. siateczki dzianinowej Dri-Fit, która umożliwia przepływ powietrza i wilgoci, a kroje są niezwykle funkcjonalne. Znajdzie się tu bezrękawnik z wewnętrznym wbudowanym stanikiem czy spodnie elastyczne na kola-



nach, z praktycznymi kieszeniami i szerokimi nogawkami.

Linia ubrań Tek Zen czerpie inspirację ze świata jogi i przeznaczona jest dla osób uprawiających łżejsze formy treningu. Każdy instruktor jogi marzy o miękkich i pięknych ubiorach, które pozwalają na swobodę i podążają za ruchami ciała. Tek Zen jest harmonijnym połączeniem opinających ciało, estetycznych strojów do ćwiczeń oraz komfortu i nieskrępowanych ruchów.

Projektantka Myriam Mense, zainspirowana sportem uznała, że linia Traction nie musi oznaczać czegoś zupełnie nowego. Wystarczy ulepszenia, a łączenie innowacji z klasyką to przecież znak rozpoznawczy Nike. Do kla-

sycznych sportowych ubrań dołączono nieco atrybutów nowoczesności. Five Pocket Pant to spodnie, które krojem do złudzenia przypominają klasyczne džinsy – mają zamek błyskawiczny, cztery kieszenie i nity, ale gdy przyjrzymy się im dokładniej okaże się, że są to wygodne spodnie z polaru z troczkiem w pasie.

Nike to również buty dostosowane do uprawiania różnych sportów. Nowością są Air Max Stockholm – buty, które powstały z myślą o treningu w sztukach walki. Mają zwiększoną stabilność, elastyczność i przyczepność. Gdy kopiesz worek treningowy widoczna wstawka powietrzna w pięcie i w przedstopiu oraz miękki język z poduszką zapewniają maksymalną amortyzację i ochronę.



Konkurs!!!

Dziki Ryż, Alk i Asz to linie pielęgnacyjne pierwszych polskich kosmetyków luksusowych Sza, firmowanych przez znaną aktorkę Grażynę Szapolowską. Sza to produkty stworzone w wyniku długoletnich badań, specjalnie na potrzeby Polek. Mamy 9 ekskluzywnych produktów ufundowanych przez Sza Cosmetics, które można wygrać dzwoniąc pod numer telefonu 0 (prefiks) 22-652-18-34, w poniedziałek 9 września, między godz. 12.00 a 12.30 i odpowiadając na pytanie konkursowe: Ile linii kosmetyków wprowadziła na polski rynek marka Sza?



Choć są małe i chude, przed nimi długa i męcząca droga. Wiele z nich polegnie. Niektóre do mety dotrą niczym pierwszy marańczyk – zupełnie bez sił. Dla tych kilkudziesięciu tysięcy, które przetrwają podróż, pozostanie ostatnie wielkie zadanie misji: wniknąć do komórki jajowej i zapłodnić ją.

Dotarasz do jajeczka, podejmując zbiorowy wysiłek nadtrawienia ochronnych stref: promienistej i przeźroczystej. Trawią ją za pomocą specjalnego enzymu – hialuronidazy, znajdującej się na szczycie główki. Wreszcie jeden z nich dostępuje zaszczytu nierozzerwalnego połączenia się z komórką jajową, w wyniku którego powstaje zygota. Reszta plemników obumiera.

Ponad 300 lat temu Antonie van Leeuwenhoek, zamożny kupiec z Delft, siedział nad swoimi soczewkami, oglądając męskie nasienie. Dostrzegł w nim „nerwowe paproszki”. Ni to bakterie, ni to pierwotniaki. Dziś już wiemy, że ludzkie

Misja specjalna

Plemniki u większości zwierząt posiadają zdolność samodzielnego ruchu dzięki obecności tzw. wici. U różnych gatunków zwierząt wyglądają inaczej: mają główkę kulistą, wydłużoną lub gwiazdkowatą. Zwykle są małe – u większości kręgowców o 10 mikrometrów mniejsze niż u człowieka. Inne gatunki to już odrębna historia. Jakież było zdziwienie uczonych, gdy 52 lata temu przekonano się, że małe muszka *Drosophila melanogaster* wytwarza plemniki o długości 1,76 milimetra. Kilka lat temu czasopismo „Nature” opublikowało artykuł, w którym wielu dopatrywało się chochlika drukarskiego. Samiec *Drosophila pachea* produkuje plemniki długości 16,53 milimetra, *Drosophila hydei* – 23,32 milimetra, a rekordzista – *Drosophila bifurca* – 58,29 milimetra, czyli blisko 6 centymetrów! Po co ten olbrzymi wysiłek organizmu muszki? Tu entomolodzy gubią się w domysłach.

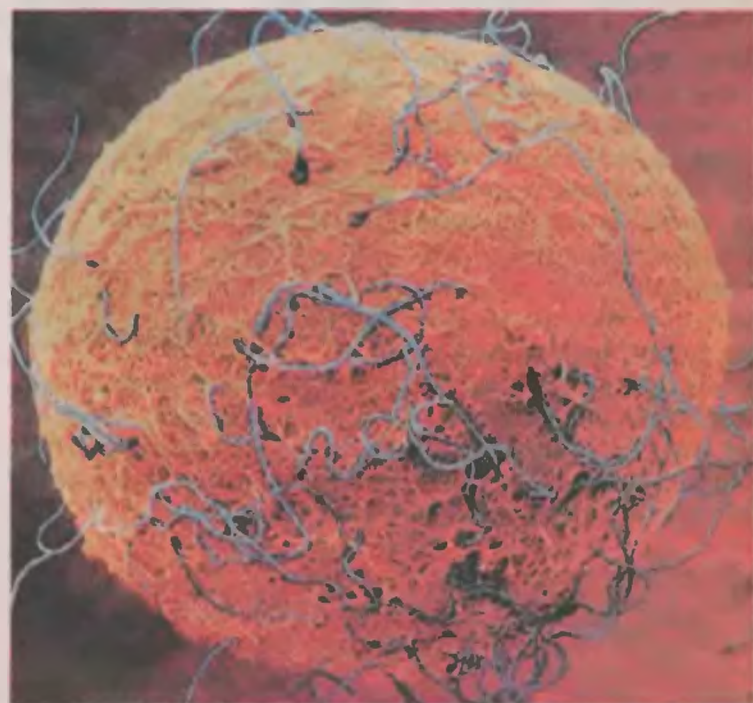
kurenta. Poznaj ją po innym składzie chemicznym. Jeśli „blokerzy” zawiodą – do akcji wkraczają „zabójcy”. Ci już nie patyczkują się w walce. Bezwzględnie likwidują wroga. Plemniki „antykonceptyjne” zabijają zaś... plemniki z własnej drużyny. Dzieje się tak, kiedy nasienie trafiło, choć ze względów genetycznych nie powinno, do wnętrza kobiety. Uaktywnia się, jeśli np. mężczyzna jest zmęczony lub zestresowany. W walce z konkurencyjną drużyną wspomogą „zabójców”.

O ich losach możnaby nakręcić niezły film akcji w stylu hollywoodzkim: by dotrzeć z przesyłką, zawierającą materiał genetyczny, pokonują tysiące przeszkód. Fabryka plemników to najadźdrze – rodzaj zbiornika na górnej powierzchni jądra. Powstają z poskręcanej nabłonki walcowatej. Kiedy są już gotowe, czekają na swoją kolej, cały czas w ruchu. Zdolność do zapłodnienia i ruchliwość wykazują przez wiele dni. Jeśli nie dojdzie do ejakulacji, zamierają.

Kiedy jednak wytrysną, w otoczeniu alkalicznego płynu (to ważne, kwasowy odczyn kobiecej pochwy od razu zabiłby większość z nich), zawierającego m.in. białka, enzymy, tłuszcze i cukry, wciąż prą do przodu. Tak przynajmniej być powinno. Według Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) jakość nasienia Europejczyków ostatnio bardzo się pogorszyła. Nasienie uważa się za prawidłowe jeżeli podczas wytrysku jest go więcej niż 2 mililitry, odczyn pH zawiera się w granicach 7,2 do 7,8, w mililitrze jest przynajmniej 20 mln plemników, ponad 30 proc. z nich ma prawidłową budowę i trzy na cztery są żywe, a w godzinę po ejakulacji choć co czwarty szybko posuwa się naprzód. W 1996 r. „British Medical Journal” zaalarmował: począwszy od 1940 r. liczba plemników w mililitrze spermy spadła ze 113 mln do 66 mln w 1990 r.

Dlaczego? Jądra to bardzo czułe organy. Do tego, by umieścić je poza organizmem, naturę mogła zmusić tylko wyższa konieczność. Okazuje się, że żadne inne rozwiązanie nie byłoby w stanie zapewnić tak dobrego chłodzenia. U nagiego mężczyzny w mosznie temperatura jest o 6 st. C. niższa niż w jamie ciała. U ubranego o 3 st. Dzięki temu plemniki są żywotniejsze. Uczeń – tłumacząc zapewne drastyczne eksperymenty dobru nauki – owijał jądra szczurów watą. Wystarczył tydzień, by spowodować miesięczną niepłodność. Podobnie jest u człowieka – czasowy zanik możliwości zapłodnienia może nastąpić nawet, jeśli przez tydzień dzień w dzień przez pół godziny moczy się w wannie z wodą o temperaturze 60 st. C.

Plemnik zwany jest też spermatozoone, spermatozoidem lub gametą męską. Składa się z główki,



„Nerwowe paproszki” i komórka jajowa

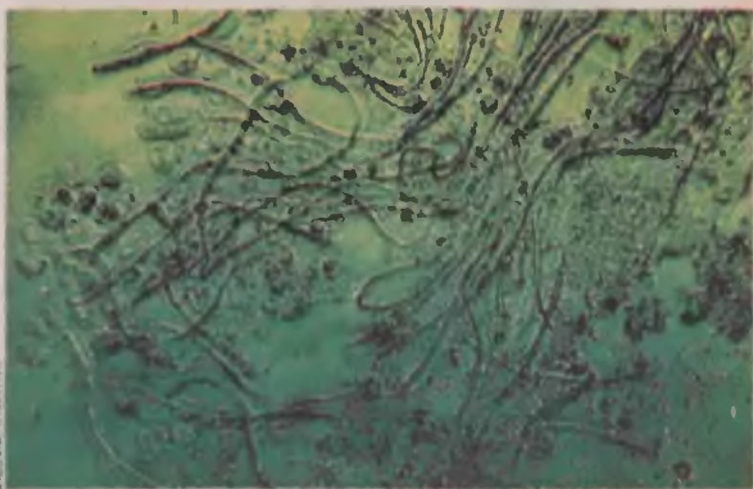
szyłki (zwanej także wstawką) oraz wici. Główka zawiera jądro komórki, na niej umieszczony jest tzw. akrosom, czyli wypustka, zawierająca enzymy, ułatwiające wniknięcie plemnika do komórki jajowej. Komórkę plemnika otacza błona komórkowa oraz osłonka, zapewniająca mu ochronę w drogach rodnych. W szyjce znajdują się mitochondria, wytwarzające energię niezbędną do poruszania się.

To plemniki decydują o płci dziecka, ale... Hipokrates pisał: „Mężczyzna, który pragnie mieć córkę, musi zbliżyć się do żony po ustaniu miesiączki i traktować ją codziennie czule, aż do utraty swych sił vitalnych. Mężczyzna, który pragnie mieć syna, winien zbliżyć się do swej żony, gdy ona ma na to ochotę”. O tym, że orgazm kobiety zwiększa szansę na poczęcie chłopca, wspomina też Talmud. Zgadza się to ze współczesnymi odkryciami. Jeszcze 200 lat temu, już po odkryciu plemników, ścierały się dwie teorie: jedna z nich, głoszona przez ovisów (łac. ovus – jajo) głosiła, że w jajach siedzi małe człowieczki, plemnik uaktywnia go dopiero; spermisci twierdzili, że jest właśnie odwrotnie: człowiek znajduje się w plemniku, jajo to tylko zbiór substancji odżywczych.

Dziś wiemy, że ostatnia para chromosomów we wszystkich ludzkich komórkach, oprócz tych służących rozrodowi, określa płeć. U ko-

biety są one jednakowe (oznacza się je XX), u mężczyzny różne (X i Y). W procesie dojrzewania komórek rozrodczych, czyli jaja i plemnika, garnitur chromosomów ulega rozdzieleniu. Każdy plemnik i każde jajeczko zawiera tylko połowę chromosomów (po jednym z każdej pary), w tym jeden płciowy. Komórki jajowe, jak łatwo się domyślić, zawsze mają chromosom X. Plemniki natomiast – X lub Y. Jeśli tym jednym niezwykłym plemnikiem okaże się nosiciel chromosomu X, dziecko będzie dziewczynką. Jeśli do komórki jajowej wniknie plemnik z chromosomem Y, na świat przyjdzie chłopiec. Plemniki „męskie” są mniejsze i szybsze, ale krócej żyją. Plemniki „żeńskie” są wolniejsze, ale bardziej odporne. Komórka jajowa żyje około doby. Jeżeli stosunek odbywa się na dzień lub dwa przed owulacją, jest większa szansa na to, że w drogach rodnych przetrwają plemniki niosące żeński materiał genetyczny. Jeśli do współżycia dochodzi w czasie owulacji lub tuż po niej, większą szansę w wyścigu do komórki jajowej mają plemniki męskie.

Niestety, w ubiegłym roku WHO ogłosiła, że chromosom Y wyraźnie się degeneruje. Dawno temu zawierał prawie tyle samo informacji, ile żeński X, teraz jest praktycznie genetyczną pustynią. Czyżby zwoleń powtarzał się scenariusz „Seksmisji”?



Pomimo niewielkich rozmiarów są sprytnie i zwinne



Dzielą się na zabójców, blokerów i plemniki antykonceptyjne

plemniki mają ok. 60 mikrometrów długości. Pomimo nikłych rozmiarów, są sprytnie i zwinne.

Kilka dni temu ogłoszono wyniki prac naukowców ze Szpitala Uniwersyteckiego w Zurychu, którzy badali zachowanie plemników dopływających do rozgałęzienia w kształcie litery T. Zgodnie z przewidywaniami połowa skręciła w prawo, druga – w lewo. Gdy jednak dodano jeszcze jeden zakręt w prawo przed wspomnianym rozgałęzieniem, 58 proc. plemników skręciło w lewo. Dlaczego? Na razie nie wiadomo, dr Peter Brugger, neurobiolog nadzorujący przeprowadzenie eksperymentu, sugeruje jednak, że sperma ma zdolność „korygowania” początkowego zakrętu w prawo, skręcając później w lewo, tak by zachować kierunek na wprost.

Doświadczenia na muszkach (plemniki widać pod mikroskopem) ujawniły jeszcze jedną ciekawą cechę plemników – także ludzkich. Catherine Price z Uniwersytetu w Chicago postanowiła sprawdzić, co się stanie, kiedy plemniki jednego samca muszą konkurować z plemnikami innego w tej trudnej misji. Już wcześniej dwaj badacze – Baker i Bellis – pokazali, że istnieje kilka kształtów plemników męskich i tylko 50 proc. ma standardowy kształt zapewniający im zawrotną prędkość kilku cm na godzinę (w różnych fazach poruszają się zresztą różnymi „stylami pływackimi”). Po co więc pozostałe? To, w zależności od budowy, plemniki „blokerzy”, „zabójcy”, albo „antykonceptyjne”. Te pierwsze, jak bramkarze w knajpie, rosiej posturę, bronią wstępu plemnikom kon-

Skąd się biorą dzieci?

Dojrzała męska komórka rozrodcza, czyli plemnik, ma około 0,06 milimetra długości. W porównaniu z plemnikiem komórka jajowa jest olbrzymem, ma około 100 mikrometrów (1/10 mm) średnicy i waży około 90 tys. razy więcej. Oble zawierają haploidalny (czyli zredukowany o połowę) zestaw chromosomów. Ich połączenie powoduje powstanie diploidalnej (z pełnym zestawem chromosomów) zygoty. Z niej rozwija się płód.